Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

†

ARCYKSIĄŻĘ RUDOLF

* 21. sierpnia 1858. — † 30. stycznia 1889.

Miesiąc już upływa od strasznej katastrofy w zameczku myśliwskim Mayerlingu, a objawy żałoby po śmierci cesarzewicza rozlegają się ciągle posępnem echem po najdalszych krajach -- po całej Europie. Najdostojniejsi Rodzice opłakują jedynego syna, ludy monarchii pełnego nadziei następcę tronu, cała Europa jednego z najświatlejszych książąt, przyrodnicy przyrodnika, a łowcy najpierwszego i najdzielniejszego z pośród swych szeregów...

Gdy wieść żałobna do kraju naszego doszła, trudno było dać wiarę, że cios tak srogi uderzył. Lecz, niestety, zbyt prędko znalazła potwierdzenie, i to tem okropniejsze, że nieszczęśliwy cesarzewicz sam, kulą z rewolweru, położył kres swemu życiu...

Śmierć nie zna różnicy stanów; przecina wszelkie nadzieje i wszelkie boleści, zarówno na wyżynach tronów jak i w lepiankach nędzarzy. Posępny Hamlet, podniósłszy czaszkę z pośród cmentarnych kości, sądzi, że mogłaby ona być tak dobrze dumną czaszką cezara, jak pochylonego w pokorze wyrobnika. Śmierć zmiata wszystko, co ziemskie...

Są jednak siły i prawa, które zdają się urągać śmierci. Młodość i zdrowie, potężne władze umysłu, wszelka możność rozumnego używania i pielęgnowania życia, zdolność i miłość pracy, zamiłowanie natury i swobodny pogląd na świat i ludzi — wszystko to, złączone razem, zdaje się zapewniać wieczność. Wszystko to,

w całej pełni składało się na piękny żywot arcyksięcia Rudolfa — przyszłość uśmiechała mu się jak żadnemu z śmiertelników — a przecież przyszła jedna chwila obłędu — zaciemniła duszę rozpaczą czy zwątpieniem, złamała wolę samowiedną i wcisnęła broń do ręki nieszczęśliwego księcia...

Tysiące legend snuć będzie potomność o tym tak wielce tragicznym wypadku; z przerażeniem patrzeć będzie w tę otchłań samobójczego obłędu, który najszlachetniejszego wyrwał z pomiędzy żyjących. A gdy badacz przerzuci karty dzieł, spisanych z tak głębokiem uczuciem przez młodego księcia, gdy przebiegnie myślą, ile trudności pokonał ten duch młody, ile pracy poświęcił dla celów nauki — łzą szczerą zrosi głaz grobowy, który zamknął na zawsze zwłoki tego księcia.

Nie zawsze wyciska łzy grób potężnego, bo potęga sama nie daje prawa do żalu i współczucia. Na grobowiec arcyksięcia Rudolfa stacza się jednak łza gorąca, bo czci w nim nietylko potomka wielkiego rodu monarszego, lecz oraz człowieka z sercem i piękną duszą, miłośnika przyrody i wiedzy, myśliciela, któremu w najpiękniejszym locie ku światłu i prawdzie śmierć złamała skrzydła...

Arcyksiążę jako przyrodnik i pisarz.

Arcyksiążę Rudolf należy do wybitnych autorów w dziedzinie nauk przyrodniczych, szczególniej jako ornitolog i myśliwy. W młodych już latach rzucał się do pióra, a pierwsze te próby pisarskie, drukowane jako manuskrypta, lub zamieszczane bezimiennie w czasopismach, zwracały już na siebie uwagę żywością przedstawienia, głębokiem poczuciem dla piękności natury i malowniczem w słowach oddaniem tego, co oko widziało i czem się umysł napawał. Te cenne zalety pióra wzmogły się w późniejszych pracach literackich arcyksięcia, a przyłączał się do nich coraz żywszy zmysł spostrzegawczy i ścisłość opisów, posiłkowana bogatą i coraz bardziej rozszerzającą się wiedzą.

Pierwszą pisarską pracą arcyksięcia był opis górskiej wycieczki na jeden ze szczytów w północno-wschodnim Tyrolu, zwącego się „Die hohe Salve“. Pojawił się on w „Jahrbuch des oesterr. Alpenvereines“ już w r. 1873., gdy dostojny autor liczył piętnasty rok życia...

Pierwszą większą publikacyą arcyksięcia Rudolfa jest opis odbytej w r. 1878. podróży po Dunaju, wydany p. t. „Fünfzehn Tage auf der Donau (Piętnaście dni na Dunaju). Wkrótce potem, bo w jesieni 1880 roku, ukazał się zbiorek sprawozdań i wrażeń łowieckich p. t. „Jagdschilderungen aus Ungarn“ (Szkice łowieckie z Węgier). W roku 1881. wybrał się był arcyksiążę w dłuższą podróż na Wschód i z tego czasu datuje się najcelniejsze i najobszerniejsze dzieło jego, dwutomowa, niezmiernie zajmująca relacya z odbytej podróży p. t. „Orientreise“.

Po tem dziele następują znowu drobne szkice myśliwskie, umieszczane w wiedeńskiej *Jagd-Zeitung* i podpisywane literą R. I tak w numerze tego pisma z d. 15. listopada 1882. zamieścił dostojny autor opis polowania na niedźwiedzie w Siedmiogrodzie, a 13. kwietnia 1883. artykulik o polowaniu na głuszca średniego *(Tetrao medius)* „Eine Jagd auf Rackelhähne“.

Podróż arcyksięcia do Hiszpanii w r. 1880. pociągnęła za sobą także wielce ciekawą relacyę p. t. „Ornithologische Reiseskizzen aus Spanien“. Zasługują w niej na uwagę przedewszystkiem bardzo ciekawe szczegóły o sposobie życia sępów i orłów i o polowaniu na nie.

Wiedeńskie pismo fachowe dla ornitologii *Mittheilungen des Ornithologischen Vereines* i inne pisma zamieszczały od roku 1882. pochodzące z pióra arcyksięcia: „Allerlei gesammelte Beobachtungen“, oraz „Notizen aus dem Süden“.

Z końcem listopada 1886. zostały rozmaite, ściśle tylko z łowiectwem wiążące się relacye i spostrzeżenia arcyksięcia zebrane w całość i wyszły w nakładzie księgarza Adolfa Künasta p. t. „Jagden und Beobachtungen“.

Rozpoczęte w tymże roku pod protektoratem cesarzewicza pomnikowe wydawnictwo: „Die Oesterreichisch-ungarische Monarchie in Wort und Bild“, zaprzątnęło w wysokim stopniu uwagę dostojnego autora. Chodziło o stworzenie słowem i ołówkiem tego imponującego a tak różnowzorego obrazu, jaki austro-węgierska monarchia przedstawia. Postarano się o współudział najlepszych piór i najdzielniejszych artystów — a z pomiędzy artykułów, które w wydawnictwie tem się znalazły, uwydatniają się ustępy arcyksięcia niewątpliwie żywością przedstawienia, ciepłem i ścisłością w kreśleniu obrazów natury. Oprócz obu wstępów, dla jednej i drugiej połowy monarchii, opisał tu arcyksiążę okolice Wiednia („Die landschaftliche Lage Wien's“), Las wiedeński („Der Wienerwald“) i ostrowy na Dunaju („Die Donau-Auen“).

Aby dać poznać wdzięk pióra, jakiem książęcy ten pisarz kreślił obrazy natury, wrażenia swe i przygody, przytoczymy tu ustępy z podróży po Dunaju, odbytej z początkiem kwietnia 1878. i opisu polowania na jednem z dunajowych ostrowów. Trzeba zwrócić uwagę, że badacz i autor liczył wówczas dwudziesty rok życia..

* * *

...„Między 5 a 6. rano stanął nasz pociąg na dworcu peszteńskim. Wysiedliśmy szybko z wagonów i udaliśmy się przez miasto ku przystani. Był to piękny, ciepły poranek kwietniowy. Słońce ozłacało całym swym blaskiem poważny „Bloxberg“ i stary zamek budziński z jego wiszącemi ogrodami i rozsiadłemi na okół szaremi murami fortecznemi.

„Tuż koło wielkiego mostu łańcuchowego stał już nasz parowiec na kotwicy. Z przyjemnością oglądaliśmy go we wszystkich szczegółach. Był to piękny, okazały statek.

„W wielkiej sali, która się znajdowała pod jadalnią i służyła prawdopodobnie na salę zebrań dla pasażerów w ciągu dnia, umieszczono nas, mnie i mojego szwagra*). Tymczasowe ścianki i kotary wystarczyły, aby nam zrobić dwa oddzielne pokoje. Na przodzie pokładu, pod namiotem z żaglowego płótna, umieszczono kilka stołów, przeznaczonych na laboratoryum dla Hodeka (preparatora). Tuż obok była kabina dla niego i dla jego syna.

„Gdyśmy się już wszyscy na parowcu urządzili i wszystkie pakunki szczęśliwie z kolei na statek przetransportowano, wysłaliśmy jeszcze kilka telegramów i dano znak do jazdy. Była to chwila uroczysta; wyprawa rozpoczynała się. Jako dobry „omen“ dla ornitologów pokazała się czarna kania *(Milvus ater)*, a przeleciawszy nisko po nad mostem, szybowała spokojnie wzdłuż budzińskiego brzegu ku Bloxbergowi. Był to pierwszy ptak, który pod rubrykę „widziano“ zapisanym został do notatki podróżnej.

„Zanim odsłonię tajemnice dalszych chwil pierwszego dnia podróży, muszę jeszcze cierpliwemu czytelnikowi skreślić obraz wszystkich mieszkańców statku.

---

*) Ks. Leopolda bawarskiego.

„Oprócz wymienionych już osób, byli jeszcze: mój kamerdyner, dawny myśliwy z Alp górno-austryackich, trzej moi strzelcy, mój służący, strzelec Leopolda, wreszcie kamerdyner i strzelec Bombelles'a. Wymienić wkońcu należy kapitana statku, nadzwyczaj zdolnego oficera handlowej marynarki, któremu wszyscy winni jesteśmy najgorętszą wdzięczność, porucznika, majtków i restauratora wraz ze służbą. Dla dokładności muszę wszakże wymienić jeszcze trzy istoty, które uzupełniały nasze grono podróżne, a mnie przy wielu polowaniach wyborne zawsze oddawały usługi. Pierwsza z nich, to „Black", mój lśniąco-czarny wyżeł. Na nazwę wyżła nie zasługuje on wprawdzie, gdyż tylko w rzadkich wypadkach zdoła wystawić kuropatwę lub zająca, ale zato aportuje wybornie, a idzie wytrwale za postrzelonem zwierzem, począwszy od jelenia aż do królika, i chwyta. Jest przytem nadzwyczaj przywiązany, roztropny, a skutkiem bezustannego przebywania z ludźmi, w obrębie swego psiego rozumu niezwykle wykształcony i uszlachetniony. Z powodu pilnej uwagi, jaką zwraca na wszelką zwierzynę skrzydlatą i żywego udziału, który bierze w studyach ornitologicznych, nie nazywał Brehm mojego starego „Blacka" nigdy inaczej, tylko „psem ornitologicznym" i tytuł ten pozostał mu w ciągu naszej podróży.

„Drugim z rzędu jest mój czerwony setter „Castor". Wybornym on jest do wody, lecz zresztą nic o nim ważnego nie da się powiedzieć. Przekłada sen i dobre jadło nad trudy szlachetnego rzemiosła łowieckiego.

„Trzecią istotą jest bardzo szczególne zwierzę domowe: mój zupełnie oswojony puhacz, bohater w swoim rodzaju. Zabiłem już nad nim niejednego orła, na którego napady narażał się z dumą i odwagą. Puhacz ten był ozdobą naszego statku, a przydał się nadto do spożywania obdzieranych do preparowania ptaszków. Spokój, ciągła zmiana miejsca i powietrza służyły mu bardzo, lecz nie byliśmy nigdy w położeniu, ażeby go do łowów używać.

...„Dzień przed wyjazdem przypomniałem sobie w Wiedniu, że już przed kilku laty hr. Jan Zichy był tak grzecznym, iż mnie na swą sławną „czaplą wyspę" Adony zaprosił. Teraz więc, korzystając z uprzejmości hr. Zichego, nadarzała się sposobność użyć tej miejscowości na małe myśliwskie intermezzo. Na dzień przedtem prosiliśmy też o pozwolenie, ażeby nasz zamiar wykonać.

„Już od dłuższego czasu znałem wyspę z jej reputacyi; słyszałem zawsze o niesłychanej ilości czapel, które się tam gnieżdżą i byłem pewny, że znajdziemy tam istną kopalnię różnych gatunków tego ptaka. Co do tego ostatniego punktu, doznaliśmy jednak rozczarowania.

„Po blisko trzechgodzinnej jeździe, ukazała się nam na horyzoncie większa wyspa, porośnięta gęsto srebrnemi topolami. Nikt z nas nie znał Adony, a nawet nasz kapitan nie zdawał się być dość pewny, która z wysp nazwę tę nosi. Gdyśmy atoli już od pewnego czasu widzieli czaple i kormorany, jużto w kierunku z nami, jużto przeciw nam lecące, byliśmy pewni, że oczekiwana kolonia nie musi być daleko.

„Skorośmy pod wyspę podpłynęli, ujrzeliśmy czaple na wierzchołkach drzew, i inne, jak nadleciawszy zdaleka, pośród gałęzi niknęły. Wrony krążyły w około i głośne krakanie z rozmaitych gardziołów ptasich dochodziło do naszych uszu. Wiedzieliśmy, że jesteśmy przed wielkiem lęgowiskiem ptaków, lecz czy to była wyspa Adony, tego nie byliśmy pewni. Lądowanie okazywało się krokiem najwłaściwszym, gdyż zwabieni strzałami ludzie mogliby nas najlepiej poinformować. To też daliśmy rozkaz: Zarzucić kotwicę! — bo po wojskowemu szło wszystko na naszym pokojowym parowcu dunajowym. Spuszczono na wodę łódki, i po kilku minutach wspinaliśmy się na brzeg.

Z pierwszego gniazda, które było uścielone tuż nad brzegiem w połowie wysokości drzewa, wystawał widłowaty ogon czarnej kani. Widzieliśmy to gniazdo już z parowca, lecz nimeśmy zdążyli podejść, już kania gniazdo opuściła.

„Teraz rozprószyliśmy się w rozmaitych kierunkach, trzymając strzelby w pogotowiu i każdy był obowiązany tyle ciekawych zwierząt ubić, ile tylko zdoła.

„Na kilka kroków od brzegu rósł duży, stary dąb, a na górnych jego konarach znajdowało się czaple gniazdo. Podkradłem się pod drzewo, a po kilku lekkich uderzeniach w pień. zerwała się wielka czapla, chcąc ulecieć. Trafny strzał ściągnął ją na ziemię. Na to hasło ożywił się cały las: siwe czaple zrywały się z drzew i krążyły po nad ich szczytami, krzycząc chrypliwie; tu i owdzie przyłączały się do nich ślepowrony, przemykały zrazu sowim swym lotem pomiędzy gałęziami drzew, lecz potem wzbijały się coraz wyżej, ażeby wreszcie lotem wspaniałym, prawie bez ruchu skrzydeł, jak białe płatki na ciemno-niebieskiem tle nieba, krążyć nad wyspą. Gawrony i wrony, czarne kawki i mnóstwo drobniejszego ptactwa krzyżowało się w locie...

„Na odgłos pierwszych strzałów pojawił się strzelec, który potwierdził, że jesteśmy w istocie na wyspie Adony, a w kilka minut później nadbiegł sam hr. Jan Zichy z dwoma jeszcze strzelcami. Hrabia dowiedział się dopiero przed chwilką o naszem wylądowaniu i przybiegł, ażeby nas jak najgościnnej przyjąć i po wyspie oprowadzić.

„Buszowaliśmy też tam i napowrót po całej kolonii czaplej. Strzały rozlegały się wesoło po lesie, a po każdym strzale skrzydlaci mieszkańcy wyspy podnosili na nowo wrzask trwogi. Zrazu szły łowy łatwo; ptactwo nie wiedziało jeszcze, o co właściwie idzie. Lecz gdy kilka ptaków już padło, stawały się inne coraz płochliwsze i coraz ostrożniej spuszczały się na drzewa.

„Ubiwszy już kilka siwych czapli, zwróciłem całą mą uwagę na ślepowrony *(Ardea nycticorax)*. Na ptaka tego nie natrafiłem był nigdy przedtem, i wedle moich pojęć nie byłbym go nigdy szukał w lesie wysokopiennym. Mniemałem, że właściwą pieleszą jego są podmokłe łąki, położone pomiędzy wodami, zarośniętemi szuwarem i trzciną. Zdziwiłem się też niepomiernie, gdym ujrzał kilka ślepowronów, jak stały na najwyższych wierzchołkach srebrnych topoli, widocznie zajmując się budową gniazd. Parki tych ptaków, gdym je chciał podejść, siedziały zawsze na tych samych drzewach, a gdym je spłoszył, krążyły w małych kręgach zawsze nad jednem miejscem.

Po godzinie pilnych poszukiwań zeszliśmy się wszyscy przypadkowo na ścieżce, która całą wyspę na wzdłuż przecina. Udaliśmy się nią i weszliśmy niebawem w bujną bardzo gęstwinę. Las wysokopienny czaplej kolonii niknął zwolna w lesie niższym o bujnem bardzo podszyciu.

„Droga wiodła nas początkowo koło szkółki drzewnej przez małą łączkę nad brzeg dużej odnogi Dunaju, która z jednej strony wyspę okrąża. Około stromych a kruszących się brzegów uwijały się tu jaskółki brzegówki, a z spokojnej toni zerwały się łopocącym lotem kaczki-krzyżówki. Krzaki rzedniały i wyszliśmy wkrótce na pastwisko, na którem rosło tylko kilka odosobnionych drzew, przeważnie kasztanów. Do tego pastwiska przylegały pola uprawne, a po drugiej stronie widniał znowu niski las. Na brzegu tegoż rosła grupa nadwyczaj wysokich wiązów, na których także

widać było mnóstwo gniazd, a na nich jak czarne punkta, niezgrabne postacie kormoranów.

„Gdyśmy tak wzdłuż odnogi Dunaju przez pola postępowali, roztoczył się przed nami cudowny obraz. Z jednej strony widzieliśmy wysoki, przecudnej zieloności las, czapel siedlisko, ujęty z dołu wieńcem nadzwyczaj gęstych krzewów. Po nad drzewami lasu krążyły ciągle spłoszone czaple; niektóre z nich, zwracając białe piersi ku słońcu, błyszczały jak srebrne gwiazdy na błękicie, inne ciągnęły wolnym lotem, tuż po nad wierzchołkami drzew i śledząc, wyciągały długie szyje. Gdy fala silnego wichru, zapowiadającego burzę, odwróciła liść topoli, stawał nagle cały las w blaskach srebrzystych, podczas gdy łąki tonęły w wiosennej zieleni, a sitowie na odnodze dunajowej chylało się z cichym szumem i woda marszczyła się w drobne fale. Po drugiej stronie Dunaju rozścielała się daleka równina, częścią w blaskach słońca, częścią zasłaniana cieniami mknących po niebie chmur. Naprzeciw nas gęstwina leśna z grupą bezlistnych wiązów, mała odnoga Dunaju ze świeżo zieleniącem się sitowiem, na lewo zaś brzeg wyspy i Dunaj, a na nim w oddali szaro zielone ostrowy...

„Na wschodzie było jasno; ciemno niebieski błękit, zasuty tu i owdzie białemi obłokami, lśnił w pełnym blasku południowego słońca. W stronie zaś południowo-zachodniej piętrzył się wał czarnych chmur, z którego wicher pojedyncze chmurzyska odrywał i pędził ku nam...“

* * *

W powyższych obrazach natury tyle jest prawdy, siły i głębokiego poczucia piękna, że czytając opis podróży po Dunaju, trudno się od niego oderwać.

Były to pierwsze blaski wiosny i w przyrodzie i w duszy autora. Pospieszmyż obecnie z arcyksięciem na te same wody o trzy lata później, w jesieni r. 1880., gdy drugą swą podróż po Dunaju odbywał. Będzie to urywek ze zbiorku „Jagden und Beobachtungen“.

* * *

...„1. listopada przed południem opuściliśmy wraz ze szwagrem moim, ks. Leopoldem bawarskim, wielkim księciem Toskany i hr. Bombelles stację Gödöllö i na godz. 12. przybyliśmy do budapeszteńskiej stacyi żeglugi na Dunaju. Na pokładzie statku „Marya Walerya“, najętego dla nas, znaleźliśmy hr. Hansa Wilczka i malarza Pausingera. Towarzystwo było już zatem w komplecie i po paru minutach parowiec ruszył. Prócz kilku myśliwych, był jeszcze z nami syn preparatora Hodeka, który towarzyszył mi już w pierwszej mojej wędrówce po Dunaju...

...„Półtrzecia roku dzieli nas od owej doby. Ciężkie, szare chmury, bezlistne drzewa, nagie łąki i zimny wiatr północny zajęły miejsce wiosny i tylko Dunaj pozostał sobie wiernym i toczy w spokojnym, niezgłębionym majestacie — ku wschodowi swoje fale...

„Pod wieczór przyjemniejszy widok uśmiechnął się do nas, do czego przyczyniło się i to, że im dalej zmierzamy na południe, mianowicie w późnych godzinach popołudnia, tem cieplej się staje. Długie stada kaczek i sznur bekasów, ciągnących na południe, dodawały okolicy interesu ornitologicznego...

„Gdy się dłuższy czas bawiło w wiecznie jednostajnej szarzyźnie zachodniej kultury, ogarnia człowieka tęsknota za owemi ziemiami, gdzie podziwiać można to, co jest prawdziwie wspaniałem: naturę z jej niezmiennie pięknemi zjawiskami, z jej przepychem barw, których użycza Wschód.

„Jakże to wspaniałe, gdy ciężko zwieszające się chmury staną w krwawej czerwieni, gdy słońce w słabych blaskach za wzgórza się kryje, a kolor lila tworzy przejście do ciemnobłękitnej nocy, która już, tajemnic pełna, zaległa szerokie równiny; gdy lekka warstwa mgły opada na szumiące nurty wielkiego strumienia...

„Setki wron przelatywały gromadami nad równiną ku swym schroniskom, a wyciągnięte sznurem trójkąty dzikich gęsi podążały z gęganiem żałośnem na południe...

„Ciemno już było zupełnie, gdyśmy przybyli na nocleg do Mohaczu.

„Równo ze świtem ruszyliśmy w dalszą drogę; gdym się obudził, dzień już szarzał. Pospieszyłem na pokład, aby przyjrzeć się znajomym stronom. Chłodny, ale piękny poranek owionął mnie; lekki opar unosił się nad wodą, a słońce daremnie usiłowało rozgrzać tę biedną ziemię.

„W towarzystwie Pausingera wpatrywałem się w otaczające nas piękne obrazy...

„Kiedyśmy mijali ostrów Hullo, którego trzcina potężna, nakształt żółtych fal, kołysała się na wietrze, potężny orzeł siadł na wierchołku starego, zmurszałego drzewa, wystającego nad trzciną, a drugi wysoko po nad nami krążył, upatrując zdobycz. Strzeliłem i wnet na całem wielkiem trzęsawisku zawrzało życie. Całe stada zerwały się i przelatywały w różnych kierunkach nad sitowiem.

„Około południa przybyliśmy do Czerevicy. Pomału zbliżał się parowiec nasz do brzegu. Przyjazna ludność powitała nas salwami, dzwonieniem i okrzykami: „Żiwio!“ Hr. Rudolf Chotek prosił mego szwagra, wielkiego księcia, Pausingera i mnie, ażebyśmy poszli obejrzeć kolonię orłów, która ptakom drapieżnym służy na nocleg.

„Wsiedliśmy do powozu, aby przebyć drogę, wiodącą ku głębokiej dolinie. Wierzchowce pochodzenia bośniackiego szły za nami, pod nadzorem dawnego mego znajomego, masztalerza Petrowicza. Im dalej zapuszczaliśmy się w labirynt lesistych gór, tem piękniejsze krajobrazy wynurzały się i nabrałem wówczas przekonania, że nietylko wiosna, ale i jesień potrafi nadać tym przepysznym okolicom szczególny urok...

„Przy zakręcie gościńca dosiedliśmy wierzchowców. Teraz dowództwo nad nami objęli: wyborny znawca tych borów, Doležal i leśniczy Kawka. Konie tonęły prawie w morzu zieloności, z niemałą trudnością przedzierając się przez nią. Stanęliśmy wreszcie u celu. W. książę i malarz Pausinger zajęli stanowiska po jednej stronie, mój szwagier po drugiej stronie polany leśnej. Ja, żeby dojść do swego, musiałem nakładać drogi.

„Nagle, o kilka zaledwie kroków odemnie, ukazał się potężny jeleń; wiatr był dobry, szlachetny zwierz pasł się spokojnie, lecz węgierskie prawo łowieckie uratowało go od niebezpieczeństwa. Musiałem poprzestać na obserwacyi. Był to prawdziwy, w wolnych lasach wzrosły jeleń. Tylko w krajach wschodnich, gdzie kniei nie zamieniono jeszcze na promenady, spotkać można taką zwierzynę.

„Nazajutrz, jeszcze przed brzaskiem, ja i szwagier mój, zjadłszy śniadanie, opuściliśmy domek myśliwski. On w powozie, ja zaś pieszo, w towarzystwie leśnego, który mnie prowadził przez gęsty bór, wzdłuż stromych stoków. Znałem dobrze czarnego mego przewodnika, który, otuliwszy się swym długim, szarym płaszczem, szedł przedemną w milczeniu. Jego brunatna twarz i wyraziste oczy, ocienione czarnemi kędziorami, krzepka, muszkularna postać, lekkie ruchy, zaledwie słyszalne przemykanie się przez gęstwinę,

wszystko to dosadnie charakteryzowało ów prawdziwy, piękny typ południowego Słowianina.

„Kruki bez ceremonii zlatywały się na przynętę i zaczęły najswobodniej raczyć się. Wtem zakrakały ochryple i wylęknione, uciekły do lasu. Wypłoszył je trwożliwie oglądający się dokoła wilk. Chwyciłem ostrożnie za strzelbę, w nadziei, że starego weźmie apetyt na maleńkie śniadanko, a wtedy mógłbym mu służyć troszką ołowiu; ale nadzieje moje wnet prysły, gdym zobaczył, że jego łaskawość, snać żerem nocnym dobrze nasycony, spokojnie poszedł dalej swą drogą i znikł w lesie.

„W kwadrans później nowe krakanie wron ostrzegło mnie o przybliżaniu się wielkiego drapieżnika. Niebawem też posłyszałem szum potężnych skrzydeł orła, spuszczającego się ciężko na pobliskie drzewo. Ująłem ostrożnie strzelbę i odwiódłem kurek. Znowu szelest śród gałęzi i znowu dwa wielkie drapieżniki mignęły przedemną. Był to wielki orzeł bielik i zadziwiających rozmiarów sęp. Spuściły się ku przynęcie, lecz wynikła między nimi niezgoda. Był to groźny i komiczny widok. Sępowi z wściekłości najeżyły się pióra, podczas gdy bielik wyglądał jak wymuskany i odwróciwszy głowę za siebie, napełniał powietrze swem przeraźliwem: „glik, glik!"

„Szybko się zoryentowałem, kula świsnęła; charakterystyczny odgłos uderzenia dał mi znać, żem nie chybił. Gdy się dym rozwiał, widziałem sępa, jak w ostatnich wysiłkach uderzał potężnemi skrzydłami..."

Arcyksiążę jako łowiec.

Gorące zamiłowanie przyrody łączyło się w arcyksięciu z szlachetną namiętnością myśliwską, którą po najdostojniejszym Ojcu swym odziedziczył. Niestrudzony w bezustannych wycieczkach łowieckich, wyborny a szczęśliwy strzelec, doświadczony, pomimo młodego jeszcze wieku, w hodowli zwierząt i sztuce łowieckiej — był arcyksiążę niewątpliwie jednym z najpierwszych łowców tegoczesnych.

Od lat dziecinnych, towarzysząc najdostojniejszemu Ojcu swemu, zaprawiał się arcyksiążę do szlachetnego rzemiosła łowieckiego. Pierwszego jelenia i pierwszą gemzę ubił w roku 1867., a więc licząc zaledwie skończonych lat dziewięć! Tablice z głowami i rogami obu tych sztuk zostały pomieszczone w cesarskiej zbrojowni obok służących tu do ozdoby myśliwskich trofeów cesarza. Jeleń był ósmakiem i padł koło Ischlu, kozica zaś, samiec, w Langwies koło Bärnkogel.

Arcyksiążę był łowcem z głębokiego zamiłowania, z urodzenia, a nie dla zabicia czasu i nudów. Polowań, aranżowanych dla zabawy, dla modnego sportu, nie lubił i niechętnie brał w nich udział. Jeżeli się jednak nadarzyła sposobność polowania, przy którem trzeba było osobistej dzielności, wytężeń fizycznych, pokonywania trudności, podstępów myśliwskich — wtedy odczuwał prawdziwą rozkosz myśliwską. Pewnego razu w roku 1886., w zimie, leżał trzy godziny w śniegu, zasiadłszy się na dzikie łabędzie, i odpokutował to ciężkiem zapaleniem otrzewnej.

Niepowodzenie na łowach martwiło go bardzo. Tak np. niepocieszonym był po ostatniej wyprawie w Görgöny St. Imre, gdzie się na niedźwiedzie z ks. Walii wybrał. Ani jeden myś nie padł wówczas. O zawodzie tym wspominał często i obiecywał go sobie wkrótce powetować...

Przepisów łowieckich przestrzegał arcyksiążę ściśle a nawet surowo. Znał się wybornie i dbał o ochronę zwierząt łownych. Zapiski swoich wypraw łowieckich prowadził z niezwykłą ścisłością. Gdy go w czasie podróży po Galicyi doszła wiadomość, że sąsiadujący z Mayerlingem właściciel polowania zastrzelił jelenia, pochodzącego z jego kniei, był tem do żywego dotkniętym i mimo braku czasu, tak bardzo oficyalnemi przyjęciami zajętego, wypisał długi list z burą na niedbały dozór i naruszenie łowieckiej ustawy.

Łącznie z swym księgarzem i wydawcą Künastem obmyślił arcyksiążę wydanie dzieła p. t. „Nasi myśliwi", mającego podać nietylko szkice biograficzne największych łowców w Austro-Węgrzech, lecz także statystyczny obraz myśliwstwa. Gdy debatowano nad tem, jaką przyjąć podstawę do ułożenia tej galeryi myśliwych, a Künast proponował wielkość myśliwskiego obszaru jako cechę znakomitości łowca — rzekł arcyksiążę z uśmiechem: „W takim razie byłbym ja jednym z najmniejszych łowców!" — gdyż własna jego knieja w Mayerlingu była bardzo niewielka. Nieubłagana śmierć przerwała dalsze prace nad tem dziełem...

Wszystkie rodzaje polowania nie były arcyksięciu obce; każdy uprawiał z temperamentem zapalonego myśliwca. Między innemi urządzał n. p. specyalne łowy na wydry i utrzymywał osobno do tego zaprawiane psy. Oko miał wyborne, rękę pewną i niezwykłą szybkość strzału. Z całego stada zwierzyny umiał wybrać najsilniejszego jelenia czy kozła i brał go na cel.

Pewnego razu w r. 1882 zaprosił był arcyksięcia cesarz Wilhelm I na polowanie do Letzlingen. W niesłychanie bogatym rewirze tym przyszło w dwóch dniach pod strzał 700 sztuk jeleni i danieli i około 300 dzików. Po pierwszym miocie zapytał sędziwy monarcha gościa swego, co ubił? „Dwadzieścia dziewięć rogaczy, ale najpiękniejszych" — odrzekł arcyksiążę. I w istocie, znalazło się na rozkładzie tyleż najpiękniejszych jeleni i danieli, które poniosły śmierć z ręki arcyksięcia.

Kółko towarzyszów myśliwskich arcyksięcia stanowili zazwyczaj Jan hr. Wilczek, Samuel hr. Teleky, Józef hr. Hoyos, Eugeniusz hr. Bombelles, Filip ks. Koburski, książę Braganza i inni. W ostatnich czasach wspólne zamiłowanie łowiectwa zbliżyło go bardzo do Artura hr. Potockiego, do którego dwukrotnie do Krzeszowic na polowanie przyjeżdżał.

Ciekawą i pełną trudów wyprawą łowiecką był wyjazd arcyksięcia we wrześniu r. z. do kniei perehińskiej na jelenie.

Między 28. stycznia a 6. lutego r. b. przybyć miał arcyksiążę do hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego do Poturzycy, ażeby zapolować na dziki. Niestety, straszliwa śmierć zniweczyła te plany. Jednym z ostatnich listów arcyksięcia, był właśnie list, wystosowany do hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, w którym się z niemożności wyjazdu tłumaczył.

* * *

Poznanie natury głuszców średnich *(Rackelhähne)*, sposobu ich życia i przebywania, zawdzięcza wiele spostrzeżeniom przyrodniczo-łowieckim arcyksięcia. Znany przyrodnik niemiecki, A. E. Brehm, którego przez długie lata łączyła zażyłość z arcyksięciem, powołuje się w pomnikowem swem dziele „Thierleben" co do tego gatunku kuraków na arcyksięcia Rudolfa, jako na powagę naukową.

Posłuchajmy choć na chwilę opowiadania arcyksięcia o tych rzadkich ptakach, będących mieszańcami z cietrzewia i głuszycy. Było to w r. 1877. w Czechach.

„Gdym minął brzeg lasu — pisze arcyksiążę — i wyszedł na pólko odgraniczone tylko małym laskiem od pól

dalszych, spotkałem strzelca, który mi doniósł, że dopiero co widział głuszca średniego na brzegu lasku. Spoglądnąłem w tę stronę i ujrzałem istotnie dużego ptaka, który ciemnem swem upierzeniem odbijał dobrze od jasno oświetlonej piaskowatej ziemi. W pierwszej chwili wydał mi się podobniejszym do małego głuszca, niż do cietrzewia; lecz im bardziej mu się przypatrywałem, tem więcej uderzało mnie to — o ile z nacznej odległości sądzić było można — że różni się właściwie od obojga swych rodziców. Powolny chód, dużemi, ostrożnemi krokami, sposób szukania pokarmu na polu, pozioma bardziej postawa — wszystko to było czemś całkiem odmiennem i przypominało raczej bażanta, niż kuraki głuszcowate. Zdziwiło mnie to również, iż ptaka tego rodzaju spotykam biegającego po polu w godzinach popołudniowych. Usprawiedliwiałem to wszakże nizinowem położeniem okolicy, które jak wiadomo, wpływa na zmianę obyczajów tego ptactwa, trzymającego się przeważnie lasów górskich; okazało się to później tem naturalniejszem, gdym widział i cietrzewie tej okolicy, jak z lasu wychodziły i wczesnym rankiem lub pod wieczór na pola się wyprawiały.

„Strzelcy mówili mi, że kogut, któregom widział, trzyma się zwykle w tem samem miejscu, i dopiero pod wieczór wychodzi na błota, czasem aż pod wieś, gdzie jest właściwe tokowisko cietrzewi, z zapadnięciem zaś nocy przelatuje wysoko ponad trzęsawiskiem ku pobliskiemu lasowi, gdzie w wysokiej sośninie, zazwyczaj na jednem miejscu nocuje, a rychło świt jest już znowu na tokowisku pośród błót.“

Koguta tego ubił arcyksiążę, a wszystkie szczegóły, na podstawie własnych spostrzeżeń i wywiadywania się pomiędzy miejscowemi ludźmi podaje tak troskliwie, tyle zbiera dat o tych, przed nim tylko niedokładnie znanych ptakach, że w istocie staje się w dziale ornitologii pierwszym monografistą głuszca średniego.

Tak samo zajmował się arcyksiążę badaniem czarnej kani, niektórych orłów i czapel — w ogóle ptaków, których w takiej pełni dostarczał mu, jużto zdeptany przez niego Las wiedeński, jużto piękny Dunaj.

* * *

Na późniejsze lata przypadły nużące wyprawy na niedźwiedzie w górskich kniejach Siedmiogrodu. Arcyksiążę ubił w krótkiem swem życiu 11 niedźwiedzi, a przeważnie w Siedmiogrodzie.

Oto wyjątki z opisu polowania, które się odbyło w ostatnich dniach września r. 1882. w Görgöny St. Imre.

Polowano przez jedenaście dni, dzień po dniu, t. j. od 22. września do 2. października.

Pomimo deszczu, który lał strumieniami, przeszukano pierwszego dnia najbliższe od wsi rewiry, gdzie trop dwóch lub trzech niedźwiedzi sygnalizowano — lecz nadaremnie.

„Drugiego dnia — opowiada arcyksiążę — braliśmy dość krótki, lecz młodą drzewiną gęsto zarośnięty miot. Myśliwi rozstawili się na wązkiej i, jak zwykle na polowaniu w tych lasach, mało miejsca do strzelania przedstawiającej drożynie. Nagonka, nie spotkawszy nic zgoła, wyszła na strzelców w środku i na prawem skrzydle, gdy wtem na lewem skrzydle, pośród gęstwiny, podniósł się nagle ogromny krzyk. Młody myśliwy, p. M., uważając miot za skończony, opuścił był swoje stanowisko, i zaledwo zdążył dojść do sąsiada, gdy wtem, tuż przed nagonką, duży czarny niedźwiedź wprost na opuszczone stanowisko wypada i chwilę na niem się zatrzymuje. Zanim myśliwi, którzy już mieli broń na ramieniu, zdołali się złożyć, zniknął niedźwiedź w naprzeciwległej gęstwinie.“

Niedźwiedzia tego szukano nadaremnie. Deszcz puścił się znowu strugami, nagonka szła źle, choć więc jeszcze cztery mioty przegoniono i widziano trop trzech niedźwiedzi, nie przyszedł nikt do strzału.

Dnia 24. września zabawiano się w południe polowaniem na bekasy, przyczem padło także 2 zające i 2 orzechówki. Następne dwa dni przeszukiwano bezskutecznie bliższe i dalsze knieje; „widzieliśmy prześliczne partye leśne — mówi arcyksiążę — ale niedźwiedzia ani jednego.“ Nareszcie dzień 27. września był szczęśliwszy.

„Pierwszy miot — opowiada arcyksiążę — był całkiem pusty; drugi, w którym znajdowało się mnóstwo leszczyny i którym my brali od pola, okazał się szczęśliwszym. Staliśmy w parowie, wśród prześlicznego lasu dziewiczego. Pod koniec miotu przeleciał tuż koło mnie wielki puhacz, a wkrótce po nim pojawił się niedźwiedź dwuletni, który, idąc urwiskiem, zaczął się pomiędzy hr. M. a baronem J. spuszczać ku dołowi. W tej chwili otrzymał niski strzał w komorę od barona, i w całym pędzie rzucił się ku hrabiemu, który go chybił. Gdy niedźwiedź nie zmieniał kierunku, a myśliwy pośliznął się, chcąc się obrócić i zmienić strzelbę, wypalił do niego stojący za hrabią strzelec. Niedźwiedź skoziołkował po tym strzale, następnie jeszcze raz się podniósł, lecz otrzymał jeszcze jeden strzał w szyję i o pięć kroków dalej legł bez życia. W tryumfie zawieźliśmy go do domu.“

W następnym dniu, pełnym wrażeń, strzelano do niedźwiedzi, postrzelono dwa, arcyksiążę kazał spuścić wyborne swe psy siedmiogrodzkie, tropiono za farbą, lecz wszystko nadaremnie.

Dnia 29. września widziano znowu cztery niedźwiedzie, z których jeden postrzelony przepadł, a inny legł na miejscu od celnego strzału w głowę z ręki barona S. Arcyksiążę widział tylko mysia, ale nie mógł przyjść do strzału.

„Zaledwo byłem kwadrans na stanowisku — tak brzmi opowiadanie arcyksięcia — gdy wtem, najwięcej na 20 kroków, pojawił się niedźwiedź i zwolna przedemną sunął. Złożyłem się i prowadziłem go, lecz widziałem tylko jakby cień mysia przed sobą, a nigdzie ani na dłoń wolnego miejsca do strzału. Wszystko było zasłonięte gałęziami i liściem, a więc nie mogło być mowy o pewnym strzale. Na parę minut straciłem niedźwiedzia całkiem z oczu i słyszałem tylko chód jego ociężały. I jeszcze raz pokazał mi się, spiesznej już nieco tałapiąc, ale i teraz niepodobna było strzelać.“

Jakoż do końca polowania nie ubił arcyksiążę żadnego mysia i z żalem opuszczał Görgöny utyskując, że pora na polowanie była jeszcze za wczesną, za ciepłą i zbyt deszczową. A przecież padło i wówczas trzy niedźwiedzie na miejscu, cztery zostały postrzelone, cztery niestrzelane przeszły przez linię strzelców, jeden zaś przebił się przez nagonkę.

Trofea myśliwskie arcyksięcia.

Arcyksiążę Rudolf posiadał tak bogaty i tak świetnie urządzony zbiór ubitych przez siebie zwierząt, jak zapewne żaden inny myśliwy.

Jest to istne muzeum, zajmujące trzy duże komnaty, w apartamencie arcyksięcia w Burgu, w skrzydle zamkowem przy t. zw. „Schweizerhofie“.

Z ptaków najbardziej zajmującą jest kolekcya brodźców i pływaków, które arcyksiążę na licznych swych wycieczkach

myśliwskich i podróżach zastrzelił. Uderzają w niej swą okazałością dwie warzęchy *(Platalea)*, dwa piękne, zielone ibisy, należące do niezwykłych rzadkości, wreszcie kilka gatunków czapel i ślepowrony.

Wrażenie wiernego obrazu żywej natury wywołuje grupa szakali. Jest ich sześć i atakują hyenę, która broni przed nimi zdobyczy swej: nieżwego jagnięcia. Cała ta grupa zajmuje więcej niż pięć metrów kwadratowych i ułożoną została ściśle podług skazówek arcyksięcia. Tłem jej jest grupa skał, naśladująca wiernie skalistą miejscowość w Palestynie, pomiędzy Jerozolimą a Betlejemem, w pobliżu zamku Tantur, gdzie arcyksiążę na szakale zasiadał.

Jedna z komnat muzealnych przekształcona jest w formalny las, z dębami do $3^3/_4$ metra wysokiemi, krzakami i skalistemi urwiskami. Na jednym z dębów rozsiadło się olbrzymie orle gniazdo, z załomów skalnych wyglądają sowy. U stóp drzewa widać resztki padliny końskiej, a walczą o nie sęp kasztanowaty, orzeł bielik, sęp białogłowy, którego arcyksiążę w Hiszpanii ubił, egipski ścierwnik i kruki. W układzie całej tej sceny jest wiele prawdy i życia.

W innej grupie odgrywa główną rolę żbik, ubity przez arcyksięcia koło Gödölö. „Black“, ulubiony przez cesarzewicza, duży, czarny wyżeł angielski, który zdechł w r. 1882., wystawił w swoim czasie owego żbika, dlatego i jemu dano honorowe miejsce w tej grupie. Żbik pomyka na drzewo, „Black“ czuwa na dole. Na drzewie mieści się także hiszpański ryś centkowany.

Poważną grupę dla siebie tworzą trzy niedźwiedzie, z których dwa wypchano w postawie wzniesionej na tylnych łopatach. Jeden z nich padł w lasach munkackich, drugi w Siedmiogrodzie, w Görgöny, trzeci w Murany.

Z pomiędzy innych zajmujących okazów wymienić wypada olbrzymiego wilka, przedstawionego wybornie w chwili, gdy wypadłszy z oczeretu przez kłodę przeskakuje. Jest to zdobycz łowiecka z Czerewicy, gdy arcyksiążę polował u hr. Choteka. Jako rzadkość zwracają na siebie uwagę biały całkiem rogacz, który ma tylko małą płową plamkę na grzbiecie, i biały jeleń.

Między innemi okazami przeznaczono także w gabinecie miejsce dla małej małpki. Jest to „Jaques“, małpeczka, którą arcyksiążę ofiarował był w dzień urodzin arcyks. Stefanii. Że zaś małpka ta była ulubieńcem małej Elżusi, więc i ją po śmierci dla muzeum wypchano.

Wypychaniem zwierząt i aranżowaniem grup zajmował się przeważnie znany preparator Hodek.

Niezliczona ilość rogów kozic, muflonów, rogaczy, jeleni, danielów itd. zdobi malowniczo ściany sal i kurytarza. Honorowe miejsce pomiędzy niemi zajmuje olbrzymia głowa łosia z potężnemi, dłoniastemi rosochami. Przywiózł ją był arcyksiążę z Ibenhorst, gdy był na łowach u cesarza Wilhelma.

Salę, poświęconą głównie pamiątkom z podróży na Wschód, zdobią pyszne, srebrem i złotem wykładane pistolety, handżary i tureckie szable, które cesarzewicz przeważnie od sułtana w darze otrzymał. Pod kloszem szklannym spoczywa także... dziurawy kapelusz pilśniowy, pierwszy a najulubieńszy i dlatego tak zużyty kapelusz myśliwski arcyksięcia.

Zostało przeszło sto sztuk najrozmaitszych dubeltówek i sztućców, a osobno, w pięknie rzeźbionej gablotce, będącej darem cesarzowej, najpierwsze karabinki i myśliwskie strzelby arcyksięcia z lat dziecinnych.

Przed niewielu dniami, po wyjeździe arcyksiężnej Stefanii do Miramare, spisano inwentarz z tych wszystkich przedmiotów, i rozesłano niektóre, jako pamiątki, osobistym przyjaciołom i towarzyszom łowów arcyksięcia. Co się nadal stanie z prześlicznem muzeum — nie zapadło jeszcze postanowienie cesarza. Na wszelki wypadek znaczna część nagromadzonych tam skarbów znajdzie nmieszczenie w muzeum cesarskiem.

St.

CHARCIARZ.

Obrazek myśliwski

przez

Jordana.

W beletrystyce naszej, pomimo pozornego zatrzymania tła swojskiego, wziął w ostatnich czasach pewną przewagę kierunek powszechno-ludzki, ze szkodą dla wiernego podpatrywania i odwzorowywania typów narodowych. W ślad za świetnymi nowelistami francuskimi, traktuje się przeważnie ciemne temata niedoli człowieczej, jeśli zaś rzecz toczy się nawet w sferze ludowej, choć tam występuje jaki Kuba lub Baśka, nie ma w nich tonu rzeczywistej prawdy, a poglądy ich na świat i tendencye tchną zazwyczaj takim pesymizmem, jaki w ogóle naszemu społeczeństwu nie jest właściwym.

Miłe też wrażenie, nito promień słońca wśród szarugi jesiennej, czynią szkice i nowele, będące wiernem odbiciem naszego życia społecznego, takiego, jakiem ono jest „we dworze i borze“, z jego właściwemi blaskami i cieniami, ale bez podszewki nieswojskiego pesymizmu.

Fotografem tego rodzaju jest autor, ukrywający się starannie pod pseudonimem Jordana. Zwrócił on na siebie uwagę czytającej publiczności polskiej swojemi „Wędrówkami delegata“, które ogłaszał „Tygodnik ilustrowany“. Wybornem chwytaniem i rysowaniem typów narodowych, fotografowaniem naszego życia wiejskiego, jakiem ono jest w rzeczywistości, dał się Jordan poznać odrazu jako bystry spotrzegacz a oraz pisarz, umiejący z wdziękiem opowiedzieć to, co widział.

W tej chwili mamy przed sobą świeżo wydany zbiór szkiców i obrazków Jordana p. t. „Z boru i dworu“ (Warszawa, Gebetner i Wolff 1889.) i nie możemy się powstrzymać, aby nie podać treści i nie powtórzyć znacznymi ustępami pierwszego z zawartych tam szkiców, który jest wybornym obrazkiem myśliwskim.

* * *

Mamy przed sobą piękny poranek jesienny i pana Albina Ścigalskiego, dziedzica kilkunastowłokowych dóbr „Zajączki“. Gospodarka rolna idzie tam jak zwykle — bez szczególnych wymysłów i wysileń — ale zato polowania pilnuje pan Albin jak oka w głowie. Widzimy go właśnie na klaczce, którą od jakiegoś stłuczenia bioder „Biederką“ nazwano. Niepozorna to na oko szkapina, ale nie zmęczona w biegu i nie znająca przeszkód; sadzi przez płoty i rowy z lekkością sarny, gdy charty pomkną za szarakiem. Panu Albinowi o to tylko idzie, więc nie dałby za nic ukochanej szkapki, a teraz z rozkoszą sunie na niej w pole.

„We dworku — opowiada Jordan — cicho było jakby mak siał — młoda małżonka spoczywała jeszcze snem błogosławionych; a spoczynku tego przerywać, teraz zwłaszcza, nie było wolno nikomu, czekała ją bowiem tak zwana podróż do Krakowa... podróż dla młodych mężatek tak upragniona, a tak straszna i trwoga przejmująca zarazem, z której się albo żywego gościńca, albo... i śmierć czasem przywozi.

Przy łożu pani Albinowej, od paru już tygodni, czuwała matka, pani sędzina Ostrzycka, dla której jedynaczka była oczkiem w głowie, i całem szczęściem tego świata. Matrona ta niemłoda, o ile tkliwą była dla cierpiącej córki, o tyle ostrą i surową była świekra dla pana Albina, w którym drażniła ją żyłka myśliwska, i to wieczne wymykanie się z domu, pod pozorem doglądania gospodarki.

— Niechże się dziś przynajmniej pan zięć zbytnio nie oddala — mówiła doń przed chwilą — bo kto wie, co wypaść może.

— Na krok się nie ruszę z Zajączek — zapewniał pan Albin — pojadę tylko rozstawić pługi, przeliczyć ludzi przy burakach... i wrócę; a gdyby coś tu zaszło, niechaj Jędrek na łysej kobyle świśnie po mnie w pole, a w mig na Biederce powrócę.

I z tem mocnem postanowieniem, pożegnał on świekrę zafrasowaną. Ale niestety, pan Albin grzeszył pamięcią, iście kurzą.

Że to, co teściowej przyrzekał, płynęło z duszy i serca, o tem nie było można wątpić na chwilę, kochał on bowiem żonę nad życie, i niemało się o jej stan obecny turbował. Zaledwie jednak wyszedł z pokoju, zaledwie dosiadł Biederki i pieski wziął na smycz, zaledwie ujrzał się na wolnem szerokiem polu, powietrzem rannem odetchnął, i świergotu ptactwa posłyszał... dworek jego i cierpiąca żonka, i gderliwa świekra i świeże a święte obietnice... wszystko to zwolna zacierać się poczęło w pamięci. Zjechał z drogi, na świeży pod-ór, patrzył przed siebie z wytężeniem, rękę do czoła przykładając, gonił wzrokiem to w prawo to w lewo, a cała myśl jego, wszystkie jego władze, wytężyły się w jednym tylko kierunku... upatrzyć kota w podorach, i poszczuć go o ile można najskuteczniej.

Co tam parobcy robili, mało go obchodziło, bo z pomiędzy skrzypiących pługów, rzadko się zając wymyka — co robili ludzie u buraków, jeszcze go mniej obchodziło, bo wśród hałasu i gwaru tej przebrzydłej hałastry żaden szarak nie dosiedział spokojnie w kotlinie. Zdala więc od tych robót gospodarskich, przekładał pan Albin podory, wzdłuż i w poprzek... gdy nagle... na drugiem staju, ujrzał w bruździe kupkę jakąś szarą, kosmatą, ze szklistemi, w słup rozwartemi oczyma, ze słuchami gładko na grzbiecie ułożonemi... płaską, przyklapłą, nieruchomą.

Był to zając.

Panu Albinowi serce zabiło z radości, przycisnął się do konia, — jedno kółko smyczy osadził głębiej na dużym palcu, końce rzemienia lekko między dwa palce ujął, i objeżdżając kociaka szerokiem dosyć kołem, nie spuszczał zeń oka na chwilę.

— Hecwo... hecwo... pieski — szepnął cichutko do chartów, które na znajomy ten sygnał, zastrzygły uszkami, kładąc się piersiami na smyczy — hecwo... hecwo... — szeptał ciągle, zakreślając koniem koła coraz mniejsze... aż nareszcie, gdy już był na odległość kilkudziesięciu tylko kroków, lewą ręką targnął Biederkę, gwizdnał przeciągle, w ślad za czem zając wyjechał z kotliny.

— Heż ha!! — krzyknął całą piersią, puszczając z palców końce rzemiennej smyczy, z której się charty w oka już mgnieniu wysforowały. — Heż ha!! — powtórzył, sadząc na Biederce za kotem, którego już charty zoczyły, i rozpoczęła się gonitwa niema... cicha... walka na śmierć i życie, pełna grozy dla biednego zająca, i wrażeń dla ścigającego dojeżdżacza.

Kot też to był nielada, jeden z tych, których myśliwi „graczami“ zwykle mianują.

Podkasały a krótki, na długich zadnich skokach z miejsca ruszył sobie swobodnie, lekceważąco prawie, jak tancerz w krótkim fraczku... spokojnym lekkim kurcgalopkiem. Pan Albin w duszy żałował, że go poszczuł za blizko, i że tej nawet satysfakcyi mieć nie będzie, by mu pieski dały kilka obrotów; — zaledwie jednak charty dochodzić poczęły zająca, dał ten ostatni kilkanaście susów tak olbrzymich, że się odsadził na dobre pół staja, i nagle spuściwszy się do rowu, znikł z oczu chartom i dojeżdżaczowi.

Psy stanęły nad burtą, Biederka z panem Albinem tuż się za niemi znalazła, ale kota ani ujrzeć.

— To „Felek“ kanalia — zaklął pod nosem pan Albin, który graczy różnemi pochrzcił był imionami — znam tego nicponia, dawniej siadywał on pod wiatrakiem, a dziś tu sobie obrał legowisko. O trutniu, znam ja cię... ty daleko nie chodzisz, boś siebie zanadto pewny... ale poczekaj... zjadę ja cię krócej, i dziś jeszcze do siodła przytroczę!

I wziąwszy napowrót psy na smycz, począł objeżdżać rowy, z silnem postanowieniem pomszczenia się na Felku, za doznane lekceważenie i nauczkę.

W niespełna kwadrans, na drugim staju za rowami, pomknął Felek, z tą samą butą i fantazją. Znając już jego przyrodę, pan Albin byłby chartów na taką odległość nie spuszczał... ale zamyślonemu nad swoją przygodą, wysforowały się one same ze smyczy, ruszając za zającem.

Nie było rady; ścisnąwszy łydkami Biederkę, przesadził rów i ruszył galopem za chartami, choć przy tak odległym dystansie, słabą już miał nadzieję zwycięstwa.

Pieski suwały znakomicie: „Sroczka“ dała Felkowi jeden obrót, „Siwka“ i „Ścigaj“ drugi — a mimo inteligentnych ruchów strategicznych, jakiemi się zasłaniał mądry Felek, kto wie, czyby się ostatecznie szala zwycięstwa nie była na stronę piesków przechyliła, gdyby nie krzyk w polu, i tentent galopującego konia.

Był to Jędrek na łysej kobyle.

— Wielmożny panie!... paniczku!! — wołał chłop na całe gardło.

— Co się stało? — zapytał pan Albin, osadzając konia w miejscu.

— Pani starsza kazali pana zawołać!

— No dobrze.., dobrze... — odparł, puszczając się znów ku chartom.

— Ale zaro... zaro! — powtarzał Jędrek, goniąc za nim.

— No, przecie kota nie daruję!

— Ale pani starsza wylecieli bardzo zafrasowana i kazali pana choćby bez gwałt sprowadzić.

— A bodajżeś pękł! — zaklął zdesperowany pan Albin, widząc kota wymykającego się nagle z pomiędzy chartów. — Dyabli przeklętą babę nadali!... Gdybym był go zaraz dojechał, jużby go psy były miały... a teraz, dostanie się na miedzę... i pójdzie!...

W rzeczy samej, Felek widać igrał był tylko sobie z chartami; wydostawszy się na twardą, wązką miedzę, dał znów kilkanaście swoich specyalnych susów... spuścił się w przegonę, ztamtąd w rów, i poszedł wypocząć sobie resztę dnia, po dwukrotnym pościgu, na spokojniejszych terytoryach sąsiednich.

Pan Albin klnąc w duszy, wrócił jak niepyszny do domu. Na progu czekała go świekra.

— Żywo po Pomagalską do miasta! — krzyknęła rozkazująco.

— Alboż co! — spytał zdziwiony pan Albin.

— To waść nie wiesz, że żona lada chwila...

— A niechże cię! — zaklął, uderzając się w czoło, jak gdyby chciał sobie wybić z głowy niesfornego Felka, który mu tam ciągle kotłował — lecę zaraz! piorunem!... biedna Zosia!...

I nie zsiadając już z konia, tak jak był, sunął wyciągniętym galopem za bramę.

— Ale jakżeż ją waść zabierzesz?! — wołała za nim sędzina — wróćże się panie Albinie po bryczkę!... Jezu Marya!... zwaryował... konno, po kobietę w tym wieku... wróćże się panie Albinie!

Ale pan Albin był już na drodze, i nic z tego wszystkiego nie słyszał, całą myśl jego bowiem zajęła teraz biedna Zosia, którą kochał nad wszelki wyraz, i o której życie ciężko się w tej chwili niepokoił.

— Nie ma rady na waryata! — zawołała rozpaczliwie pani sędzina Ostrzycka. — Jędrek... do ekonoma!... niech natychmiast w ślad za panem wyśle parę koni i brykę do miasta, po panią Pomagalską... ale żywo!

— Kunie są w polu — zauważył chłop niechętnie.

— To ruszaj po nie!... za pół godziny żeby mi już były w drodze.

Chłop poskrobał się w głowę, nie był bowiem przez pana Albina do takiej wojskowej komendy przyzwyczajonym. Ze starszą panią nie było jednak żartów, bo niewiasta wzrostu była tęgiego, gęby szerokiej, łapy żylastej, a przytem rezon miała tak wielki, że uląkłby się jej chyba i sam Naczelnik powiatu i Sąd gminny w całym swoim komplecie. Ruszył więc w pole między pługi, i w godzinę niespełna, wlokła się, w parę chudych zrobków zaprzężona bryka, do powiatowej stolicy, po słynną na całą okolicę panią Pomagalską.“

* * *

Pan Albin sadził tymczasem do miasteczka. Już wpadł między chaty najbliższej wioski, gdy w tem odezwała się zgraja psich głosów po za nim. Poznaje cienki pisk Siwki i znane mu wycie Ścigaja — obejrzał się i widzi, że charty, zamiast zostać w domu, biegną za nim, odgryzając się wiejskim kundlom. Cóż robić? Chcąc uniknąć szczekaniny i psy od napadu ratować, skręca w bok na pola. Ach, jakby tu można poszczuć zajączka... Lecz co to, czy sen, czy jawa? Zając istotnie sadzi, a pięć chartów za nim. Ścigaj i Siwka zoczywszy to, ruszyły bez rozkazu pod ścianę lasu, do którego szarak już dobiegał i bez obrotu prawie wzięły go na miejscu.

Zkądże się wziął ten zając? Ot, pokazują się i jeźdzcy — to sąsiedzi pana Albina — polują z chartami. Witaj nam, witaj! obstępują go w koło.

Pytają Albina, co tu robi? On, przypomniawszy sobie nagle, że jedzie po... Pomagalską na koniu i z chartami, nie chce się do tego przyznać. Szarpie się jednak, że ma pilne interesa, i musi być zaraz w miasteczku. Ale sąsiedzi perswadują mu, że Biederka zmachana, że mu każą zaprządz do bryczki, a tymczasem ciągną go na kieliszek gorzałki i łyżkę bigosu do leśniczówki. Albin w istocie głodny, przypomina sobie nagle, że od rana nic nie miał w ustach, trudno więc nie dać się wciągnąć przez serdecznych sąsiadów. Wszak to niedaleko i tylko na chwilkę.

„I poszli poczciwi sąsiedzi przez lasek, gwarząc wesoło o przygodach myśliwskich, i prowadząc konie za sobą; przy siodłach bujały się już trzy zające, czwarty świeżo uszczuty, przytroczonym został do siodła pana Albina, jego to bowiem pieskom kociak winien był zagładę.

Pogawędka o sprawach myśliwskich, jest nigdy nie wyczerpanym tematem.

Opowiadania panów Anastazego, Kacpra i Sobka o trzech uszczutych zającach, o różnych figlach, jakie im charty płatały i o rozlicznych konceptach, na jakie się biedne szaraki w obronie swego życia zdobywały, — zajęły całą drogę do leśniczówki. Pan Albin rozgadał się także na dobre, nie zapominając i o hultaju Felku, który mu już charty kilkakrotnie w pole wyprowadził; i w tej miłej pogawędce zapomiał zupełnie o rzeczywistym celu swej podróży.

Po półgodzinnej wędrówce, ukazała się oczom myśliwych leśniczówka; była to osada gajowego na małej zbudowana haliźnie, otoczona wysokim płotem żerdziowym, i umajona dokoła malwami i słonecznikami, które liliowe i żółte swe główki ku okienkom chaty skłaniały.

Na przyzbie stał chłop tęgi, barczysty, w długiej bajowej świcie, koloru popiołu, z tęgim sękatym kijem w ręku.

Na widok zbliżających się gości, schylił czapkę baranią ku ziemi, pana swego za nogi uścisnął i wrota na oścież otworzył.

— Co tu słychać Grzegorzu? — spytał go pan Anastazy.

— Jedno w kółko wielmożny dziedzicu.

— Szkody nie ma w lesie?

— A cóżby to był za las, wielmożny dziedzicu, żeby w nim szkody nie było.

— Któż tam znowu?

— A kaci go wiedzą... chłop, nikt inny.

— Oj te chłopy... chłopy! — westchnął pan Kacper — że się też tego nie oduczą.

— Oni proszę W. panów bez uczenia kradną, to się i oduczać nie potrzebują.

Szlachta uśmiechnęła się na ten dowcipny kalambur.

— Widać się Grzegorza nie boją — zauważył dziedzic.

— Choć mnie się nie boją wielmożny dziedzicu, to przed tym kijem respekt by mieć powinni, bo on już niejednemu żebra zliczył... ale...

— Ale cóż?

— Ale teraz i kij nie pomoże.

— Czemu?

— A no, jakem łońskiego roku przesiedział cztery niedziele w hareście, żem ta szturknął tego złodzieja Antka, tak też od tej pory co się zamierzę, to mi łapa opada... bo nuż mnie znów do sądu podadzą...

— To ci głowy nie zdejmą.

— Dobrze właśnie, ale bez te cztery tygodnie, cobym w kozie przesiedział, to wielmożnemu panu będą tu chłopy w lesie gospodarować, jak myszy na weselu.

— Ma racyę — westchnął dziedzic.

— To zamiast bić, wy ich sami podawajcie do sądu — zauważył Sobek.

— Bez świadków? — odrzekł gajowy — a to się psu na budę nie zda.

— A gdybyś tak czasem strzelił dla postrachu? — wtrącił pan Kacper.

— Z czego?... z kija? — spytał chłop.

— A to mu daj sąsiad dubeltówkę — rzekł pan Kacper do dziedzica.

— A niechże Bóg broni! — odrzekł zagadniony — on by mi wszystką zwierzynę co do nogi powystrzelał!

— Wielmożny panie!

— Ho, ho!... znam ja cię Grzesiu... wolę już znieść tę trochę szkody, lub ciebie w kozie widzieć, jak ci dać fuzyjkę w łapę.

— Ha... niech i tak będzie W. panie... ale niech się W. pan szkodzie nie dziwi...

Uwiązano konie u płota, pieskom ustawiono dla ochłody parę dzieżek zsiadłego mleka, i myśliwi weszli do izby, która niezwykłą świeciła czystością.

Na białym, sosnowym stole stały już miski polewane... dokoła nich lśniły się błyszczące jak srebro łyżki cynowe, na środku spora flacha alembikówki, kilka butelek piwa i bochenek razowego chleba, dopełniały nakrycia.“

* * *

Zabrali się nasi myśliwi do śniadania. Głodny Albin gruchnął kieliszek jeden i drugi, ciepło mu się zrobiło, śmiał się z dykteryjek myśliwskich, po głowie znowu mu zaczął Felek chodzić — gdy wtem wbiega zdyszany chłopak i daje znać, że na oparzelisku lis myszkuje.

— Lis! A bójże się Boga! zawołał gospodarz — trza nam było zaraz powiedzieć! — Gruchnęli jeszcze po kieliszku i dalej na lisa, a pan Albin z nimi.

Jakże nie miał jechać, kiedy wiedział, że tylko jego Ścigaj weźmie lisa, bo inne charty nie mają dosyć ciętości.

Następuje piękny opis polowania na lisa z chartami na kępiastem oparzelisku po za laskiem. I któryż piesek wziął lisa? Oczywiście Ścigaj. Mykita „z kępy na kępę skakał ze zwinnością wiewiórki, okręcał się w miejscu, suwał bokiem to w prawo to w lewo, aż nareszcie uderzony w pierś szeroką czaszką Ścigaja, zachwiał się, łeb podniósł i w jednej chwili został chwycony zębami charta za gardło!“

Cóż za tryumf, co za splendor myśliwski dla Albina. Sąsiedzi gratulują mu pieska, gdzież mu tam teraz w głowie Zosia, miasteczko i Pomagalska!

Mykita jest wspaniały. Pan Kacper, który ma dwanaście skórek na lisiurkę i ciągle mu trzynastej brakuje, przymawia się panu Albinowi o skórkę. Dumny z psa Ścigalski, daje lisa, a Kacper przytracza go do siodła swojego bułanka i jadą na powrót przez lasek ku domowi.

Lecz cóż za fatalny wypadek! Lis, którego przytroczono, był tylko „zaczajony“, a że mu „wietrznika“ nie roztrzaskano, więc po pewnej chwili, rzuciwszy się, chwycił bułanka zębami za udo. Bułanek skoczył jak wściekły i z panem Kacprem rzucił się między drzewa... I koniec był smutny, bo koń łeb o drzewo roztrzaskał, a pan Kacper spadł i czoło sobie skaleczył...

* * *

„Tak niefortunnie zakończone łowy, odebrały już myśliwym do dalszych wycieczek chęć wszelką; wieczór też robił się już na dobre... chłód jesienny stawał się dotkliwym... wstąpiono więc tylko do leśniczówki i po zalaniu smutku kilkoma miarkami chlebówki, pan Kacper zdrzemnął się na łóżku gajowego, wysławszy chłopaka po brykę, reszta zaś myśliwych, puściła się z psami do domów.

Najbardziej zasępionym był pan Albin; po świeżych a tak silnych wstrząśnieniach, chlebówka na słabą jego mózgownicę silniejszy jak zwykle wpływ wywarła. Przez całą drogę do domu, stał mu przed oczyma to pokrwawiony biedny Kacper, to poczciwy bułanek, który chciwość swego pana na skórkę, tak smutnie życiem przypłacił. Jechał też pan Albin w milczeniu, a wzdychał... ciężar jakiś pierś mu tłoczył... przeczuwał jeszcze coś strasznego, ale sobie sprawy z tego przeczucia zdać nie mógł. Są chwile w życiu człowieka, z których sobie sprawy zdać nie umie — popada wtedy w jakiś stan trwogi bezwiednej, w jakąś obawę ciemną, niejasną, nieokreśloną, — w myśli szuka powodów, których odnaleść nie może, a jednak tkwią one na dnie duszy, jak ów niepokój ogarniający ptaszynę, przed zbliżającą się burzą, której pozornie nic jeszcze zapowiadać się nie zdaje.

— Feralny to był dzień jakiś — mruczał sobie pod nosem pan Albin — ten Felek... ten szelma Felek... — mruczał dalej, przywodząc sobie na pamięć krótkiego szaraka, o długich zadnich skokach, który go z rana dwukrotnie wyprowadził w pole.

— Czekaj kanalio — szeptał dalej — ty myślisz, że ja cię jutro znów w tych podorach szukać będę?... o nie!... bądź spokojnym... raniutko, skoro świt, założę pod wiatrak, na twą dawną siedzibę, znam ja tam twoje dwie kotlinki, znam nicponiu... jedna, na piętnastym zagonie od rżyska, druga na dziesiątym od koniczyny... Tak kochasiu... jutro, skoro świt, wezmę pieski na smycz, słoninkę w kieszeń... i poproszę cię w taniec; zajadę cię najprzód od koniczyny, żebyś mi się w kapuśniki nie dostał... o... o... bo ty kochasiu lubisz te kapuściane bruzdy, z których już ci słuchów nie widać... ale bądź spokojny... zajadę cię od koniczyska i poszczuję ku wsi... wątpię, żebyś kochasiu zmykał między wiejskie kundelki; będziesz więc musiał skręcić na grochowczysko, a tam mój Feleczku... trochę ci się łapki między grochem plątać będą... i tych twoich szprynców, nie będziesz mógł wyprawiać. A jakby cię w tej kotlinie nie było, to my cię z pieskami poszukamy na piętnastym zagonie od rżyska... tam puszczę na ciebie Skoczkę i Siwkę... a sam ze Ścigajem zostanę na miedzy. Skoczka i Siwka cię nie wezmą... to wiem, ale że ci dadzą kilka obrotów, to także wiem. Dopiero, jak się kochasiu puścisz starym twym szlakiem po miedzy, wtedy ci serdeńko puszczę Ścigaja do tańca, i poharcujecie sobie szydłem po wązkiej miedzy, póki ci Ścigaj na grzbiecie nie siądzie i za kark nie pochwyci; a jeżeli myślisz Feleczku, że mi się przegoną nad łąką wymkniesz, to się grubo mylisz... bo tam teraz woda ze strugi wylała, i użyłbyś kiepskiej kąpieli... a że wiem, żeś elegant... kusy, opięty, że się kataru boisz i łapki niechętnie maczasz, więcem o tę przegonę spokojny... Tak, mój Feluniu... tak do widzenia jutro... skoro świt...

I na tę myśl raźniej się panu Albinowi zrobiło, tem raźniej, że zdala widać już było dwór w Zajączkach, widać było dym, który się z komina wzbijał na kilkanaście łokci, i biegał między wierzchołki kasztanów, okalających jego siedzibę. Gwizdnąwszy na pieski, które po całodziennem utrudzeniu leniwie wlokły się do domu, i upewniwszy się, że uszczuty u pana Anastazego zając, mocno jest u siodła przytroczony, westchnął raz jeszcze nad biedną dolą bułanka, nad poszarpaną lisią skórką, nad poranionym Kacprem, który straciwszy wierzchowca, kusą tylko mieć będzie lisiurkę, i popędził tęgim kłusem ku domowi, rad, że sobie plan kampanii przeciw Felkowi tak świetnie i strategicznie ułożył.

Przed dworem spostrzegł ruch jakiś niezwykły; dziewki biegały jak oparzone, z szaflikami i nieckami, chłopak niósł tęgą wiązkę siana do siennika, a na ganku, ujęta pod pachy, komenderowała pani sędzina Ostrzycka.

Pan Albin, na widok swojej teściowej, spuścił trochę z tonu, i zajechał mniej buńczucznie, jak sobie w duszy zamierzał. Zwykle, przy wjeździe koło trawnika, lewą łydką ściskał Biederkę, która wtedy z prawej nogi, lekkiego urzynała kuregalopka; tym razem w kłusie tylko zajechał, i puszczając samopas Biederkę do stajni, a charty do psiarni, coprędzej na ganek pospieszył.

Oko w oko spotkał się ze świekrą.

Przez chwilę milczeli oboje... wzrok sędziny był groźny i chmurny — Albina lękliwy i nieśmiały.

Sięgnął po jej żylastą łapkę, chcąc na niej wycisnąć obowiązkowy pocałunek... ręka cofniętą mu została.

— Czy mnie pani mama nie poznaje?

Sędzina milczała.

— To ja, Albin Ścigalski... zięć...

— Zięć? — przecedziła przez zęby — a prawda... zięć... tak jest... zięć.. śliczny zięć... kochany zięć...

— Przepraszam, ale nie bardzo te epitety rozumiem.

— Zięć?! — powtórzyła gniewnie. — A gdzież Pomagalska?!!

— Pomagalska? — spytał pan Albin, zbierając myśli. — Jezus Marya! — krzyknął, chwytając się za głowę, cel bowiem wycieczki stanął mu teraz przed oczyma, ale w tejże chwili oprzytomniał; obawa gwałtownej sceny, podsunęła mu genialną myśl obełgania świekry, uspokoił się więc zupełnie i zabełkotał niewyraźnie:

— Pomagalskiej... na nieszczęście... nie tego... nie zastałem...

— Gdzież była?

— Pojechała... tego... do kogoś...

— Do kogo?

— No jużci nie do mężczyzny... do jakiejś pani.

— Do jakiej?

— No, naturalnie do takiej... co się tego... spodziewa...

— Więc z czemżeś asan wrócił?

— Z zającem... ee... to jest... chciałem powiedzieć... z niczem.

— I Pomagalskiej nie zastałeś?...

— Nie zastałem... inaczej byłbym ją przywiózł...

— Na koniu? — pytała nieubłagana świekra.

— Ale... o... byłbym wziął pocztę... extrapocztę... ale cóż kiedy jej nie było...

— Tego tylko brakło! — zawołała gniewnie sędzina, chwytając go za rękę — proszę z sobą..

— Ale przepraszam mamę...

— Proszę z sobą!!

— Muszę się trochę przebrać... jestem zbłocony jak pies.

— Proszę z sobą!!! — wołała, ciągnąc biednego zięcia przez sień, i wprowadzając gwałtem do pokoju.

Oczom pana Albina przedstawił się obraz, przypominający potrosze prowincyonalną Małgorzatę w Fauście. Przy dużym, okrągłym stole siedziała baba pękata, w ogromnym, szafranowym czepcu, z okularami na nosie, i niebieską pończochą w ręku.

Pan Albin ręce załamał, była to pani Pomagalska.

— Zginąłem, jak ruda mysz! — pomyślał sobie w duszy.

— Oliwa wyszła na wierzch!... Kłamstwo się wydało haniebnie!! — zawołała pani sędzina. — Biedna moja Zosia, której mąż tak dba o żonę, jak pies o piątą nogę. Gdzieżeś asan był?!

— To widać... obełgano mnie! — bronił się pan Albin — ale zkąd baba się tu wzięła?

— Zkąd... prosto z miasta przyjechała do Zajączek.

— Któż posłał?

— Ja!... Matka... matka nieszczęśliwa! posłałam bryczkę, bo u mnie w głowie nie zajączki... ale los i życie mej córki...

— A czemuż mnie mama, jak posłańca wypchnęła z domu?

— Sądziłam, że pojedziesz jak człowiek, a tyś poleciał, jak waryat!

— Jak waryat?

— A naturalnie... konno... słyszał kto? konno!... A czyż to Pomagalska zabrałaby się konno z panem zięciem.

— Pani sędzino!... matko!... darujcie!... jeślim poleciał, jak waryat, to tylko z obawy o Zosię, którą kocham nad życie!... jakżesz ona się ma?

— A śliczna miłość!... kiedyś nawet wcale nie był w mieście.

— Nie byłem?... no tak... co tu łgać dłużej! nie byłem... ale jak się Zosia ma? — dodał, pchając się we drzwi sypialni...

— Za pozwoleniem! — zawołała sędzina, zastępując mu drogę. — Nie byłeś w mieście, więc gdzieżeś był?

— Gdziem był?... no to potem opowiem... wszystko opowiem.. ale przedewszystkiem, jak się ma Zosia?

— Gdzieś był?! — pytała dalej nieubłagana sędzina. — Nie pójdziesz do Zosi, póki mi całej prawdy nie odkryjesz... gdzieś był?!

— Gdziem był?... o Boże zmiłuj się!... to dużo byłoby opowiadać... gdziem był?.. a to... leciałem, jak waryat... patrzę, a tu charty lecą za mną... staję... wołam: „a do domu!“ ale psy ani słyszeć o tem nie chciały... rad nie rad, zjechałem z niemi z drogi, przełożyłem przypadkiem przez rżysko, wpadłem na zająca, psy za nim, i wzięły go!... Byłbym zaraz wrócił... ale znów spotkałem się z Anastazym, Kacprem i Sobkiem... chciałem drapać.. ale że to zająca na ich gruncie uszczułem... nie wypadało... podjechałem więc... no... i...

— No i cóż?

— Ale jak się Zosia ma?

— Cóż dalej? — badała nieubłagana świekra. — Zosi nie zobaczysz, póki wszystkiego nie wyśpiewasz.

— Co mam śpiewać? — oburknął pan Albin, zbierając się na chwilową odwagę. — Oni wyjechali na polowanko... ja... bezwiednie... ot tak... jak tu stoję... powlokłem się za nimi.

— Mój Boże!... a tu moja biedna córka...

— Jak się to stało... nie wiem... urżnij połę... zapomniałem się.. Pan Bóg mi odjął rozum... a przytem ten szelma

Felek, czmerał mi po głowie... potem... czmerała mi chlebówka.. potem awantura z lisem... Kacper zabity.

— Kto?! pan Kacper zabity?

— To jest... chciałem powiedzieć bułanek.

— Asanu i teraz jeszcze coś czmera po głowie. Oto są te pańskie polowanka!... polowanka!!... dla których się i żonę poświęca...

— Nigdy!... — zawołał patetycznie biedny zięć — było to jakieś dopuszczenie boskie... jakiś złe... o!... dla mojej Zosi wszystko poświęcę!

— Prócz polowanka...

— Ale jakżesz się ma?

— Toś już asan wszystko wypowiedział?

— Wszystko... jak Boga kocham... jak na świętej spowiedzi... ale pozwólcież mi pójść do żony...

— Jeszcze nie można.

— Dla czego?

— Bo spi, ale jeśliś ciekawy, to ci Pomagalska syna pokaże.

— Syna?! — zawołał uradowany, roztwierając ramiona.

— Tak, i tęgiego chłopaka.

— Matko droga!... więc mi przebaczasz!... — krzyknął poczciwy charciarz, wybuchając płaczem radości, i rzucając się w objęcia również rozrzewnionej świekry. — Widzisz, że polowanko, to nie zbrodnia... jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Przebaczam tym razem, bo się szczęśliwie skończyło.. i zresztą syn cię odkupuje z grzechu twego, ale pamiętaj!... na drugi raz...

— Na drugi raz urządzę się tak, aby to w porze letniej, a nie w epoce polowań wypadło.

— Idź ty!... niepoprawny!... — zadąsała się na wpół uśmiechnięta sędzina.

Uszczęśliwiony Albin porwał świekrę i młynka z nią wykręcił, potem wpadł do pokoju, jak Faust namiętny, chwycił grubą Małgorzatę, w szafranowym czepcu, z okularami na nosie, a za chwilę tulił już do piersi, wykąpanego tęgiego bębna, który darł się w niebogłosy.

— A co?... jaki ma głos — zauważyła dumna z wnuka teściowa.

— Zupełnie tak wrzeszczy, jak zając, kiedy go charty biorą — odparł Albin.

— Tobie znów polowanie w głowie.

— Ale niech Bóg broni, moja matko... jam tak szczęśliwy, że gotówbym...

— No cóż?... gotówbyś się wyrzec polowania?

— Nie... ale gotówbym drugą smycz chartów zafundować... dla mego syna.

— To jeszcze ma czas! — odrzekła sędzina, śmiejąc się w duszy z tej żyłki.

— Ale, ale — spytał Albin — a jakież damy mu mię?

— Feliksa.

— Feliksa?... dla czego?...

— Nasamprzód, memu nieboszczykowi, a jego dziadzi, tak było na imię... powtóre, to imię oznacza szczęście... i brzmi ślicznie — Feliks, Felunio, Felek.

— Felek, Felek, szelma Felek — mruczał pod nosem pan Albin, przypominając sobie poranną konfuzyą, i świetny plan kampanii jutrzejszej, ułożonej na gracza zająca tego imienia. — Felek — dodał w duszy — mój Boże! czemu się dzień później nie urodził... Ha! kiedy jednak taka była wola boska... trudno... to już chyba zrobie ofiarę i na pamiątkę mego syna... daruję szelmie życie!..."

* *
*

Tak się kończy „Charciarz". Dalszemi obrazkami naszego zbiorku są: „Referencya", „Komedya w podnóży", „Na stanowisku" — również wyborna rzecz myśliwska — „Wyprawa po pożyczkę", a na końcu „Polowanko", krotochwila w 1 akcie. Dużo w tej książce barw i rysów żywcem z życia wziętych, dużo humoru — o czem się czytelnik sam przekona, gdy weźmie książkę do ręki.

KORESPONDENCYE.

Starzyska 22. lutego

(Twardy żywot dzika.)

„Trzy dziki w Werblicy*)!" Z tym okrzykiem wpada do mnie najmłodszy syn mój, Władzo — i na to upragnione hasło cała na święta Bożego Narodzenia przybyła i dotąd jeszcze zgromadzona rodzina, przysposabia się do polowania. Wtym roku bowiem, pomimo dość sporej ilości dzików w tych kniejach, mieliśmy je tylko przypadkowo; głównie żerowały nocą, oblegać zaś nie chciały. Sąsiednie rewiry Lelechówki i Wiszenki były polem ich miłośnych zapasów; nam tylko mnogie tropy zaostrzały żądzę spotkania, nie dając jej nigdy zaspokoić. Nie dziw zatem, że tak pożądana nowina zelektryzowała wszystkich i że w niespełna pół godziny szczupła myśliwska drużyna, zasilona zaledwie pięciu, czy siedmiu naganiaczami, pomknęła saniami do lasu. Było nas razem sześciu strzelców, mianowicie dwóch moich starszych synów, najmłodszy Władzio, jeszcze gimnazyalista, ja, kontrolor i leśniczy tego rewiru. Cicho zajęliśmy, o ile się to dało, miot około 180-morgowy. Z okiem, wlepionem w głąb kniei, czekałem z namiętnością starego myśliwego, bądźto pojawienia się dzików przedemną, bądźto odgłosu strzałów na linii strzelców.

Już mykita, spokojnie tuż przedemną truchtując, przeszedł linię, urągając z myśliwego, którego tylko prawdziwa dyscyplina łowiecka wstrzymała od łatwego strzału — za nim o jakie dziesięć kroków przeskoczyła z gracyą owdowiała koza — gdy naraz słyszę strzał jeden, a po nim wnet drugi! — To dziki — niestety, zbyt daleko, i mnie niewidome! Po chwili słyszę znowu strzały, oczywiście dobijają.

*) Nazwa miotu.

Ale strzały ciągle się powtarzają, naliczyłem ich już sześć, ba, dziesięć — ba, ośmnaście! — a to co takiego?

Czy po dzikach zające, tu dość rzadkie, jakiemś cudem walą się na myśliwych gromadnie? Nie mogę dłużej ustać z ciekawości — opuszczam stanowisko i razem ze synem, najbliżej stojącym, spieszymy linią na pobojowisko. I jakiż to obraz przedstawia się naszym oczom? Syn mój starszy trzyma sztuciec otwarty w rękach, którego ani zamknąć, ani nabić nie potrafi, gdyż ładunek wystrzelony i sterczący w żaden sposób z lufy wyjąć się nie da — on z wyrazem namiętności i rozpaczy. Drugi syn, Władzio, stoi o jakie czterdzieści kroków od niego, wśród zarośli, zarumieniony i spocony, ze świecącemi od zapału myśliwskiego oczyma; — przed nimi trzy miejsca wytalane i farbą tak zlane, że na tle śniegu wyglądały jak trzy czerwone obrusy!

— Cóż się to stało? — pytam zdziwiony. — Otóż rozwiązanie zagadki: Między wspomnionymi braćmi wypadają przez linię trzy dziki. Ułan strzela ze sztućca i dzik jeden ruluje. Obawiając się, by nie wstał, strzela już do leżącego raz drugi. Dzik zostaje na miejscu, pozostałe zaś dwa umykają. Wystrzeliwszy, ułan chce znów nabić sztuciec, gdy oto, wyciągając ładunek, przekonuje się, że tenże, utknąwszy, ani wyciągnąć, ani wypalić się nie da — strzelby zamknąć nie może i jest bezbronny. Władzio, widząc, że dzik ciągle się rusza, leci do niego i prawie *à bout portant* wali mu trzy kule, a gdy dzik ciągle jeszcze dawał znaki życia, wystrzelał do niego cały swój zapas ładunków śrótu nr. 4. Wśród tego huku nadbiega kontrolor i widząc dzika bezwładnego, mówi: „To szkoda strzałów, dzik dogorywa!“ — i biegnie po sanie, by dzika zabrać.

Ale — o dziwo!... Po wszystkich tych strzałach ubezwładniony dzik zaczyna wstawać; — ba, rusza się z miejsca i wolno, padając i wstając co krok prawie, wikłając się w dość gęstych zaroślach, drapie się pod bardzo stromy pagórek; zaczyna iść coraz lepiej i znika wreszcie z oczu obu myśliwych, z których jeden nie może nabić sztućca, drugi zaś w torbie ładunku już nie ma!!

— Dajcież mu pokój! — odezwałem się — dzik legnie pewnie o jakie sto kroków, tymczasem zróbcie ze strzelbami porządek!... Tak się też stało. Gdy się wszyscy uspokoili — nabój wypchano, a Władziowi dostarczono amunicyi, wysłałem leśniczego z leśnym w trop za tak ciężko postrzelonym dzikiem; my zaś zostaliśmy w pobliżu przy saniach. Lecz czas mija, pół godziny, godzina, ba, dwie i trzy godziny, a ich nie ma i nie ma. Gdy mrok zapadł, wrócili nareszcie zmachani, spoceni, i opowiadają, że szli za dzikiem w trop, a widząc, że go nie dojdą, starali się go obciąć, lecz zawsze im z miotu wychodził, pomimo, iż kilka razy starali się zabiedz mu drogę. Szedł ciągle, nie kładąc się, pomimo tego, że z obu stron i ryjem farbował, co najlepszy znak, że płuca przestrzelone.

— Jutro rano go przywiozę! — mówi leśniczy — choćby i poszedł przez granicę w Lelechowskie. Dam znać tamtejszym leśniczym i wspólnie go szukać będziemy. Na drugi dzień późno wieczór wraca leśniczy i opowiada, że istotnie poszedł w sąsiedni rewir Lelechowski, że go tam razem z leśniczym tamtejszym szukał, że ciągle farbuje, ale kłaść się nie chce, tak, że go ani dojść, ani obciąć nie mogli. Na trzeci dzień, w rewirze Wiszenka, należącym do sąsiada a graniczącym z innym moim rewirem, odległym o milę od miotu, w który do dzika strzelano, sprawiali w lesie belki, gdy naraz śród dnia przywleka się między zatrudnionych robotników dzik, ledwie dyszący, i kładzie się między leżące wierzchołki drzew, dopiero co przez nich ściętych. Leśny mój, który właśnie obchodził granicę, usłyszawszy opowiadanie robotników, domyśla się, iż to ów dzik osławiony, o którym już słyszał, i posyła do mego leśniczego, mieszkającego o dobrą milę ztamtąd z oznajmieniem, że dzik nareszcie legł i leży o 100 kroków od naszej granicy. Tymczasem i w rewirze Wiszeńskim, tamtejszy leśny napotkał trop dzika mocno farbującego i idąc za nim dowiedział się, że legł śród cieśli obrabiających belki. Daje zatem znać do swego leśniczego, by przyszedł podjąć dogorywającego dzika. Leśniczy miejscowy przybywa naturalnie prędzej. niż mój, idzie wprost do barłogu i do wstającego dzika strzela dwa razy — ale bez skutku!... Dzik idzie dalej, leśniczy w trop za nim aż do wieczora. Noc i śnieżyca nareszcie kładą kres wszelkim usiłowaniom i ów dzik, po dwudziestu przynajmniej strzałach, które otrzymał leżąc, przeszedłszy trzy potężne rewiry, ścigany przez trzy różne, a połączone w jednym celu siły — został dla wszystkich straconym i dopiero topniejące na wiosnę śniegi odkryją kiedyś pod mogiłą białą spoczywające jego zwłoki!...

Edward Zawidowski-Weissman.

Lwów d. 21. lutego.

(Z Towarzystwa myśliwskiego im. Huberta.)

Rezultat tegorocznych naszych polowań musi napełnić każdego członka Towarzystwa pewnego rodzaju dumą, a Wydział utwierdzi w tem przekonaniu, że oszczędne polowanie, częstokroć wbrew woli niektórych członków, szanowanie i forsowne karmienie zwierzyny, zawsze pomyślne przynosi skutki. Na 17. polowaniach gremialnych na wszystko i 4. ochotniczych na lisy i dziki, zabiliśmy dzików 13, lisów 90, (do tego policzyć należy kilka strutych przez dozorcę Towarzystwa), rogaczy 59, zajęcy 130 i kilka jarząbków. W tym wykazie, opartym ściśle na sprawozdaniach pp. rewirowych, uderzyć musi każdego mała ilość ub tych zajęcy. My sami tłumaczymy sobie fakt ten tem, że w rewirach zajęczych prawie na wszystkich polowaniach nie sprzyjała nam pogoda, że dalej, zaczęliśmy w kniejach polować dopiero od 4. listopada i wreszcie, że z powodu dotyczasowej względnej ochrony lisa, na strzały wychodziły same stare zające. Spodziewać się należy, że co do tej ostatniej przyczyny na przyszłość będzie inaczej, gdyż Wydział zakończył już ideę względnej ochrony lisa posłaniem dozorcy Towarzystwa znacznej ilości orzeszków ze... strychniną, która, przynajmniej w moich oczach, winna być jedynym przysmakiem dla znanego rodu mykitów.

Z pewnością zresztą twierdzić mogę, że powyższe cyfry nie są jeszcze takie, jak być powinny, bo w tym roku w ogóle nie sprzyjała myśliwym pogoda. W listopadzie towarzyszył nam na polowaniach przeważnie deszcz, w grudniu, styczniu i lutym okiść i zawieje, a 10. lutego w Stulsku przepuścił sam podpisany dwa rudle sarn o 4 i 6 sztukach z dwoma poznanymi rogaczami, ponieważ padający śnieg nie pozwolił oczu otworzyć.

W szczególności ubiliśmy najwięcej, bo 16 lisów jednego dnia w Brzozdowcach, najwięcej rogaczów, bo 14 w Stulsku, gdzie na dwu późniejszych polowaniach padło jeszcze 12 i 7 rogaczów. Zajęcy ubito najwięcej w Rozwadowie i Piaskach, a ochotnicze polowania w Iłowie i Brzozdowcach dały 13 dzików.

Na brak zajęcy wogóle uskarzać się tak bardzo nie możemy, bo na luźnych polowaniach w kołach I., II., III., IV. i V. od 15. września do 1. listopada zabili członkowie Towarzystwa z pewnością przeszło 200 zajęcy. Jest to cyfra, nie oparta wprawdzie na wykazach pp. rewirowych, które dopiero w kwietniu Wydział otrzyma, lecz z pewnością cyfra ta jest minimalnie podana.

Ruch w Towarzystwie był tego roku większym, przybyło wielu nowych członków, wytrawnych myśliwych, a stan kasy Towarzystwa jest taki, że niebawem urzeczywistni się niedościgniony dotąd ideał Wydziału, przez zakupienie pewnej ilości samotrzasków na jastrzębie, które zbyt często urozmaicają krajobraz myśliwemu na luźnych polowaniach, urągając zdaleka i z wysoka jego strzelbie.

Nadmienić mi w końcu wypada, że wykaz ubitej zwierzyny, nie stoi w rażącym stosunku z ilością strzałów. Śmiało rzec możemy, że strzelamy nieźle, bo przeciętnie 50 do 70 procent strzałów jest trafnych.

L. G. Dziubiński, sekr. Tow.

Sprawozdania łowieckie.

— W Bilczu, na trzydniowem polowaniu w dniach 29., 30. i 31. stycznia w dziesięć strzelb ubito 7 lisów, 35 rogaczy i 527 zajęcy — razem sztuk 569. Dzień pierwszy polowania nie dopisał dla silnego i mroźnego wiatru.

L. Sapieha.

— W Mycowie, własności p. A. Hulimki, odbyło się dnia 17. stycznia małe polowanko w dwóch laskach 100-morgowych. Na rozkładzie zrachowaliśmy: 1 kozła, 8 lisów, i 35 zajęcy. Dodać tu wypada, że byłoby znacznie więcej zajęcy padło, gdyby nie trzeszcząca pod nogami skorupa śnieżna, która nie dozwalała nagonce cicho zachodzić, a kopyry, wypłoszone już przed zaczęciem miotków, wynosiły się flankami w pole. Roku zeszłego padło w tych laskach 52 zajęcy w kilku godzinach. *E. M.*

— W Warężu, włości p. S. Łomnickiego, polowano dnia 24. stycznia w dziesięć strzelb. Ubito 1 kozła, 3 lisy, 80 zajęcy i 2 sowy; na drugi zaś dzień na podjazdkę padło 4 kozły i 8 zajęcy, razem więc 98 sztuk, z których po polowaniu znaleziono 2 kozły i 11 zajęcy. Strzałów padło 169. Kozłów spodziewaliśmy się, że więcej padnie, lecz niestety, ród sarni strasznie przerzedziły wilki, które tam od kilku tygodni gospodarują nocami, a na dzień wynoszą się za granicę. *E. M.*

— W Płotyczy, majętności p. Juliusza Korytowskiego, w rewirze Małaszowce, polowano dnia 29. stycznia w cztery strzelby i ubito na śniegu 11 zajęcy. Polowaniu nie sprzyjała burza szalona; śnieg bił jak śrótem w oczy, lisy siedziały w norach, a zające po parowach i w zgrodach przyległej wsi. Wszędzie spostrzegać się dają starania około pielęgnowania zwierzyny, wszędzie po lesie tryzubki z koniczyną pod daszkami. *Mieczysław Konopacki.*

— W Petlikowcach, własności p. Juliusza Korytowskiego, odbyło się polowanie dnia 31. stycznia. W pięć strzelb ubito na śniegu 6 rogaczy i 55 zajęcy. Pora była fatalna, odwilż; zając wracał na pogonkę, a większa część wyniosła się z lasu przed burzą. Mogło paść trzy razy tyle zwierzyny przy sprzyjającej porze i gdyby było więcej myśliwych. Stan zwierzyny jest świetnym. Tropów w lesie mnóstwo, koło tryzubów koniczyna zjedzona, zające ubiły śnieg jak stada owiec, sarn widziano kilkadziesiąt.

Mieczysław Konopacki.

— W Kabarowcach, majętności p. Bolesława Wierzchlejskiego, odbyło się dnia 21. stycznia polowanie, na którem padło 8 kozłów, 26 zajęcy i 2 lisy.

— W Trybuchowcach, dobrach p. Kornela Horodyskiego, odbyło się dnia 30. i 31. stycznia polowanie na śniegu. W dwanaście strzelb ubito 8 rogaczy i 47 zajęcy. Podnieść tu należy bardzo staranny chów sarn w 100-morgowej kniei, zaraz za domem, w którą gdyśmy wjechali, przedstawił nam się widok rzadki spacerujących sarn, jak w zwierzyńcu. W porównaniu z zeszłorocznem polowaniem w tym rewirze w analogicznej porze i warunkach, rezultat ten nazwać można świetny co do sarn, a dobry co do zajęcy.

Del. Bucz.

— W Uniżu, u p. Władysława Przybysławskiego, polowano w dniach 4., 5. i 6. lutego w ośm strzelb i ubito 3 dziki i 1 lisa. Inne 3 dziki farbujące uszły na razie.

KRONIKA.

Zamiast kuli. Czytamy w „Sporcie“ warszawskim: „Dubeltówki, jakich zwykle do polowania używamy, przeznaczone są do strzelania śrótem, do czego, jak wiadomo, cały system ich budowy jest zastósowany. Pomimo to wielu jest myśliwych, którzy broń przeznaczoną na ptactwo i zające używają np. na dziki i zamiast śrótu pakując kule — jako pociski jedynie na tak twardą do zabicia zwierzynę skuteczne — zmuszają ją do pełnienia czynności zupełnie nieodpowiednich.

Zdarzają się wprawdzie nieprzewidziane w życiu myśliwego wypadki, które na razie wymagają użycia kuli zamiast śrótu, lecz rozwaga winna hamować szał chwilowy. Mając broń kosztowną i dobrze strzelającą, należy chronić ją od uszkodzeń, jednym bowiem nierozważnym strzałem, dobrą broń bezpowrotnie zepsuć można.

Zwykła, o gładkich cylindrowych lufach dubeltówka, nabita kulą, nie może zastąpić ciągnionego sztucera, z którego strzela się celnie na większą odległość. Dubeltówka niedostateczne swoje usługi na krótkiej tylko mecie oddawać może. Nadto wiadomo, że chcąc z takiej broni jako tako celnie strzelać, należy używać kuli o średnicy nieco większej, aby w chwili strzału wychodziła z oporem i nie przepuszczała gazów.

W takich warunkach, lufy, w skutek silnego działania gazów, często rozdymają się w niektórych punktach, tworząc wklęsłości, które w następstwie niekorzystnie oddziaływają na celne strzelanie śrótem, czego zresztą usunąć nie mogą żadne późniejsze reparacje.

Kulę, tak łatwo psującą dubeltówki, zastąpić można pociskiem, który, nie przynosząc w skutkach żadnej szkody lufom, o wiele jest pewniejszym. Pociskiem takim są loftki zalewane woskiem.

Na wałek lekko wchodzący w łuskę nabojową (gilzę) nawija się zwykły glansowany papier i skleja gumą lub klejstrem w rurki, jak gilzy papierowe, z tem uwzględnieniem, aby zakład papieru na rurkach był jak najmniejszy. Jeden koniec rurki należy zagiąć starannie i zakleić, aby powierzchnia była równą, a rurka zdjęta z wałka i ustawiona na stole nie przewracała się. Rurki takie, po należytem wyschnięciu, gotowe są do użycia.

Nasypawszy do łuski nabojowej zwykłą miarkę prochu, przykrywa się ją filcową kalibrową przybitką, na którą daje się jeszcze przybitkę zwyczajną, cienką papierową, stanowiącą równą dla pocisku podstawę. Następnie wkłada się na wałek rurkę i wraz z nim wsuwa do łuski nabojowej tak głęboko, aby się oparła o wierzchnią przybitkę, bacząc przytem, żeby się ściany rurki nigdzie nie pomarszczyły. Po ostrożnem wyjęciu wałeczka, rurkę obcina się nożyczkami na pół cala powyżej łuski.

Gdy tego dopełnimy, należy ułożyć w rurkach loftki, tak co do wielkości dobrane, by po trzy lub cztery, równemi warstwami układały się w rurce. Umieszczając w ten sposób loftki, wejdzie ich w nabój, stosownie do wielkości, sztuk 9 lub 12.

Ułożone loftki zalewa się czystym, dobrze roztopionym woskiem. Czynność tę należy wykonać szybko, nalewając od razu tyle wosku, iżby pokrył loftki, nie zapełniwszy całej wysokości papierowej rurki. Gdy wosk zastygnie, wystający papier zagina się i nabój jest gotowy. Gdy wszystko wedle powyższego przepisu zostanie należycie wykonanem, wówczas można być pewnym, że na 40 kroków, pocisk taki skuteczniejszym będzie od kuli. Sprawia on straszną ranę, gdyż loftki idą razem i dopiero po przebiciu skóry rozdzielają się wewnątrz zwierza. Dzik, ugodzony takim nabojem, pędzej pada niż od kuli.

Posiłkowałem się takiemi pociskami w wielu razach, zawsze z należytym skutkiem, a że dotąd sposób ten mało komu jest znanym, przeto słowem drukowanem podaję go do powszechnej wiadomości z tem przekonaniem, że kto go zastosuje do broni „cylindrowej“, a nie do systemu *choke-bore* lub *choke-rifle*, wdzięcznym mi będzie.“ *J. B.*

Wilcza kronika. *Czernow. Ztg.* donosi, że dn. 9. lutego na gościńcu rządowym, prowadzącym z Bukowiny do Siedmiogrodu, pomiędzy miejscowościami Tyhucą a Borgoprundem stado wilków napadło i rozszarpało pocztyliona oraz dwa konie pocztowe z Tyhucy.

Nauczyciel czerniowieckiej szkoły męzkiej, Grzegorz Ilnicki, jadąc w czwartek d. 14. lutego wieczorem do Sadogóry, jak donosi „Gaz. Polska“, napadnięty został niedaleko mostu nad Prutem tuż pod Czerniowcami przez 6 wilków. Konie spłoszone w szalonym pędzie puściły się do miasta napowrót, przez co p. Ilnicki z woźnicą uszli niechybnej śmierci.

Do *Czernichowskich guber. wied.* piszą ze Staroduba, iż niedawno w pobliżu wsi Charcewa powracający do domu młody gwardzista został napadnięty przez stado wilków. Nie tracąc przytomności, dobył pałasza i zaczął się bronić, tak, iż zdołał zabić nawet trzy wilki; w końcu jednak, okrążony zapewne przez rozjuszone zwierzęta, został przez nie rozszarpany.

Z Nowegodworu w Kongresówce piszą do „Kuryera Warsz.“ o niezwykłym tam wypadku pojawienia się wilków. W dn. 24. stycznia jeden z oficerów załogi Modlińskiej (Nowogeorgiewskiej), wyszedłszy na polowanie na zające, zauważył ślady wilków. Wieczorem zasiadł w ukryciu w miejscu, w którem spodziewał się natrafić na nieproszonych gości. Nie długo czekał na nich. Po dwu godzinach ujrzał wybiegające z zarośli po nad Wisłą trzy wilki. Jeden z nich, rażony celnym strzałem oficera, ubiegł 200 kroków, znacząc śnieg posoką i upadł. Dwa inne umknęły.

„Gazeta Kielecka“ donosi, że w lutym widziano siedm wilków w lasach, należących do majątku Sieczków w pow. Stopnickim. Jeden z nich zabitym został; reszta w liczbie sześciu zbiegła, jak się później okazało, na terytoryum pow. Sandomierskiego. Zarządzono raraz obławę na nie w lasach sieczkowskich i tuczempskich, spostrzeżono tam jednak tylko ślady.

Nawet w pobliżu samej Warszawy widziano wilki. W pierwszych dniach lutego sygnalizowano cztery około szosy radymińskiej.

W gminie Brudno wpadł wilk do owczarni i udusił kilka sztuk owiec.

„Goniec Wielkopolski“ donosi także, iż w lasach szląskich, graniczących z Królestwem Polskiem, pojawiały się tej zimy wilki, z których jednego już ubito. Od roku 1870., w którym także ostra i długa panowała zima, nie było przypadku, żeby tam zastrzelono wilka.

Walka z dzikiem. Z Bukaczowiec donoszą, że urzędnik tamtejszy kolejowy p. L. D., wybrał się na pola okoliczne, aby zapolować. Psy wytropiły dzika, do którego młody myśliwy strzelił dwa razy z odległości 40 kroków, trafiając odyńca w udo. Dzik postrzelony odwraca się i rzuca na myśliwego, swego prześladowcę. Rzecz dzieje się w czystem polu, myśliwy poczyna uciekać, odyniec po drodze stacza walkę z dwoma psami, które rozszarpuje, a p. L. D., korzystając z chwili, ładuje odtylcówkę — nie tracąc przytomności, obraca się — i w tej chwili pakując strzelbę w pysk dzika, strzela. Dopiero teraz położył rozbestwioną bestyę trupem. Odyniec ważył 80 klgr.

Do Warszawy... na niedźwiedzie. Przed kilku tygodniami do jednego z hoteli warszawskich zjechało towarzystwo angielskich turystów, złożone z dwunastu osób płci obojga. Nazajutrz po przyjeździe, turyści wezwali do siebie rządcę hotelu. Oświadczyli oni, iż słysząc o wielkich lasach, jakie otaczają Warszawę, tudzież o odbywających się podczas zimy polowaniach na niedźwiedzie, pragnęliby przyjąć udział w nieznanych pod ich rodzinnem niebem łowach.

Rządcy z trudnością przyszło wytłumaczyć synom mglistego Albionu, iż niedźwiedzi, z wyjątkiem chyba zwierzyńca, okolica Warszawy w szerszem znaczeniu nie posiada wcale.

Dobroduszni Anglicy padli ofiarą mistyfikacyi, której sprawcą był ich znajomy, jakiś p. „Chonaczki“, Polak zamieszkały w Londynie. On to, opowiadając niebywałe historje o naszych kniejach, przyprawił ciekawych turystów o zawód i rozczarowanie.

Muzeum zoologiczne, założone w ogrodzie Frascati w Warszawie, powiększone zostało temi czasy piękną kolekcyą ptaków ze stref podzwrotnikowych. Kierownik muzeum, znany podróżnik i przyrodnik, pan Stolcman, skrzętnie zbiera wszystko, co tylko nadaje się do uzupełnienia bogatych już dziś zbiorów we Frascati. W ostatnich czasach powiększone one zostały znakomitą kolekcyą muszli, nabytą po ks. Lubomirskim, oraz wielkim zbiorem ornitologicznym, zebranym przez p. Stolcmana w czasie jego podróży po Ameryce i przez p. Kalinowskiego, podróżującego po Azyi i Afryce.

W kniei carskiej pod Gatczyną odbyło się d. 8. lutego wielkie polowanie. Brał w nim udział w. ks. heski Ludwik IV. i syn tegoż. Pomimo, iż polowanie krótko trwało, położono trupem dwa niedźwiedzie i trzy niedźwiadki. Trofea te odwieziono do pałacu w. ks. Sergiusza, gdzie książę heski zamieszkał.

Dobrą reputacyę borsuka, bronioną żarliwie przez jednych myśliwych, podkopują inni coraz to nowemi spostrzeżeniami. Jeden z braci w Hubercie opowiada np. w wiedeńskiej *Jagd. Ztg.* co następuje: „Było to późnym wieczorem, gdym powracał z mego rewiru do domu. Wyszedłszy już z lasu, posłyszałem nagle w pobliżu krzaka piskliwe jęki i zaraz potem warkliwe mruczenie. Gdy się to powtarzało, podsunąłem się ostrożnie ku miejscu, zkąd zdawały się głosy wychodzić. Zaledwom uszedł ze dwadzieścia kroków, ujrzałem zająca, który jak opętany biegał naokoło jakiegoś czarnego przedmiotu, uderzając nań od czasu do czasu przedniemi skokami i pryskając mrukliwie. Gdy się tylko szarak do swego zagadkowego nieprzyjaciela przybliżył, wydobywały się ztamtąd gniewne pomruki a raczej warczenia. Dość mi było tego; złożyłem się, a wyczekawszy chwilę, w której zając odskoczył od czarnego przedmiotu — wypaliłem. Cóż zobaczyłem, gdy się dym rozszedł? Oto na kilka kroków przedemną leżał duży borsuk, a szarak dał oczywiście drapaka. Niedaleko borsuka kicał maleńki, nie uszkodzony zajęczyna, ale tuż obok leżał drugi bez głowy. Znalazłem ją w paszczy borsuka. Jak następna sekcya okazała, zjadł był borsuk już przed mojem nadejściem dwa inne zajączki. Ten zaś stary zając, który tak uporczywie borsuka okrążał i napadał, to była matka mordowanych kociąt, z której sobie borsuk wcale nic nie robił.

„Usunąwszy na bok ubitego borsuka i resztki zagryzionej ofiary, wsadziłem pozostałego żywego zajączka do miękkiej kotlinki i czekałem jeszcze chwilę w ukryciu. Nie upłynęło i 10 minut, przykicała ostrożnie stara i siadła koło pozostałego jedynaka.

„Czy zasługuje więc borsuk na ochronę? Zdaniem moim wcale nie. Należałoby dążyć, ażeby go całkiem z pod prawa wyjęto, a uratowałoby się tem niejednego zajączka, niejedną kuropatwę a nawet bażanta.“

Konkurs psi. W Brukseli odbyła się niedawno oryginalna wystawa, w której stawały do konkursu psy pociągowe i ich właścicielki; miejscem popisu był bulwar d'Anvers. W dzień oznaczony aleja ta przedstawiała obraz niezwykle malowniczy. Po obu jej stronach rzędem uszykowały się wózki świeżo pomalowane i zaprzężone we wspaniałe brytany. Przy nich stały właścicielki w barwnych narodowych strojach, osobna bowiem nagroda była przeznaczona dla tej, która będzie najpiękniej ubrana. Były między niemi młode i kwitnące wieśniaczki, były i stare pomarszczone mleczarki, osiwiałe w sztuce oszukiwania publiczności i chrzczenia mleka. Obok nich stali przekupnie warzyw i owoców, piaskarze i inni, każdy ze swoim wózkiem i brytanem. Skoro widzowie zaspokoili swoję ciekawość, odbyło się rozdanie nagród, przy czem, jak zwykle, nie brakło skarg, zawiści i niezadowolenia.

Pożytek z gołębi. Jeden z rolników opowiada następujące spostrzeżenie w wirtemberskim Tygodniku rolniczym: Z początkiem lipca, gdy

w polach stało już wszystko w pełnym rozwoju i nie można było znaleść ani ziarn wiosennego zasiewu, ani nowych — pomyślałem o tem, aby gołębiom moim zanieść żywność do gołębnika. Jakżem się zdziwił widząc, że stare gołębie nie troszczyły się wcalo o rzucane im ziarno. Gdym obmacał młode, przekonałem się, że miały wole dobrze wypchane. Nie mogłem się domyśleć, czem są tak nakarmione, zabiłem przeto jednego gołąbka, a otworzywszy wól i żołądek, znalazłem w nich tysiące ziarnek gorczycy polnej, wyczki zbożowej, jaskru i czarnuszki. Rozdzieliłem te nasiona między moich uczniów, ażeby je policzyli i pokazało się, że ten jeden gołąbek miał w sobie 3.596 ziarn rozmaitych chwastów t. j. 2.703 ziarnek gorczycy a 893 innych. Okazuje się z tego, że gołębie, tak swojskie jak dzikie, obok kuropatw, przepiórek i skowronków najlepszymi są tępicielami chwastów. Należy przytem nadmienić, że gołębie tępią także rozmaite robactwo i nagie ślimaczki.

Zatrute jarząbki. Jeden z lekarzy warszawskich zwrócił uwagę na sprzedaż zatrutych jarząbków. Kilka osób z rodziny lekarza po spożyciu tych jarząbków mocno się rozchorowało. Po zbadaniu okazało się że jarząbki, z daleka sprowadzone, dla uniknięcia zepsucia oblewane bywają sublimatem (chloranem rtęci), a potem dopiero zamrażane. Manipulacya ta jest bezwarunkowo szkodliwą i władze sanitarne winnyby na zwierzynę w podobny sposób konserwowaną zwrócić pilną uwagę.

Po angielsku. Znakomitym myśliwym — pisze jeden z podróżników — jest sir William Howlet. Przez lat dwadzieścia zacny ten gentleman, bogaty a bezżenny, przebiegał w różnych kierunkach kulę ziemską z dubeltówką w ręku, a w jego notatkach ciągnął się długi spis ubitych tygrysów indyjskich, lwów algierskich, niedźwiedzi podbiegunowych i jaguarów z dziewiczych lasów Ameryki.

Kiedy go spotkałem w Boira, wracał właśnie od źródeł Nilu, gdzie przez sześć miesięcy trzebił zawzięcie hipopotamy i krokodyle, opuszczając od czasu do czasu wybrzeże rzeki, dla załatwienia się w głębi kraju z parą nororożców, trapiących plantacye murzynów. Z krajowcami był sir William w jaknajlepszej komitywie; z początku wprawdzie znajomość szła oporem, ale dzielny gentleman posiadał argumenta przekonywujące dzikich.

Pewnego dnia pijany murzyn, z podniesioną maczugą w ręku, zagrodził mu drogę; zagrożony baronet nie namyślając się długo przewrócił napastnika bokserskim kułakiem, wyrzucił jego maczugę na kilkanaście metrów w górę, podniosł z ziemi swoją dubeltówkę i poszedł sobie dalej. Wobec takiej brawury, murzyni padli plackiem na ziemię, a przekonawszy się, że „biały“ do zwierząt jedynie rościł pretensye, ludziom zaś żadnej nie wyrządzał krzywdy, powzięli dlań cześć głęboką, służyli mu wiernie i żałośnie opłakiwali odjazd jego.

Sir William obdarzony był wielkim zmysłem spostrzegawczym i opowiadał nam różne ciekawe szczegóły o instynktach i zwyczajach swoich przeciwników. Od niego dowiedziałem się, że hipopotam niezaczepiony jest spokojny jak wół, a przeciwnie, nosorożec wpada w wściekłość na widok człowieka i biada, jeśli kula nie ugodzi go celnie w oko. Krokodyl znowu odznacza się przebiegłością i zuchwale rzuca się na murzyna nagiego, którego ciało sprawia mu oskomę, ale przed odzianym i zbrojnym europejczykiem ucieka do wody.

— Jakże więc, sir, radziłeś sobie z niemi?

— Och! znalazłem na nich sposób...

— Doprawdy?

— Doskonały! Wynajmowałem w pobliskiej osadzie małego murzynka. Służący przynosił go nad brzeg rzeki i przywiązywał do drzewa lub kołka za pomocą słomianego powrósła, żeby się nie skaleczył, a ja, ukryty o jakie dwadzieścia kroków, czekałem ze strzelbą na pogotowiu.

— I?

— Dziecko znudzone zaczynało płakać; zwabiony tem krokodyl, wychodził na brzeg, żeby połknąć malca. Czekałem cierpliwie, aż się dobrze zbliży i otworzy paszczę, i wtedy paf!... po za ucho.

— Ależ przez jakie straszne tortury strachu przechodziło biedne dziecko!

— Och! wybierałem zawsze dzieci tak małe, że nie pojmowały niebezpieczeństwa. Niektóre wprawdzie usiłowały uciekać, ale inne uśmiechały się naiwnie i same podchodziły do potwora, a nawet byłyby mi zawadzały przy strzelaniu, gdyby nie były przywiązane.

— A gdybyś był, sir, chybił.

— Ja nie chybiam nigdy.

— Ależ twoja dubeltówka, sir, mogła spalić na panewce?

— Dubeltówka od Purdeya nigdy nie zawodzi.

— Ostatecznie jednak mógł ci się przecież trafić jakiś wypadek opóźniający wystrzał.

Żaden wypadek nie opóźnia strzału, strzela się najpierw, a katastrofę bada następnie.

— No, a gdyby tak drugi krokodyl...

— Drugi krokodyl ucieka, ja w trzy sekundy nabijam, i paf! po za ucho!

— Tam do kata! jednakże przypuść sir!...

— Ja nic nie przypuszczam!

Z dykteryjek myśliwskich... Co to wasze polowania w Europie, na Litwie, w Karpatach! Ja synku, panie kochany, inaczej polowałem, gdym był w Ameryce, na tych dużych, dużych preryach z Indyanami, co się Apachy nazywają. To mi dopiero myśliwi, synku, panie kochany... Wiecie jak idą na niedźwiedzia? Myślicie, że z lefoszówką albo z czokborem? Furda, — im tego wcale nie potrzeba!

Taki Apacha, synku, panie kochany, wie dobrze, iż niedźwiedź nie bierze się nigdy do zmarłego człowieka, a przytem jest bardzo na miód łakomy. Otóż Apacha, który w negliżu zawsze chodzi, włazi najprzód do barci i tam się dobrze w miodzie i wosku wytarza.

...Wy się śmiejecie, wam się zdaje, że pszczoły by go zajadły? Wcale nie. Pszczoły, synku, panie kochany, wiedzą dobrze, iż to idzie o mysia, a że myś jest także ich nieprzyjacielem, więc pozwalają Indyaninowi wysmarować się miodem, ile mu się tylko podoba.

Otóż taki miodem wysmarowany Apacha, idzie synku, panie kochany, do lasu, kopie jamę, wstawia w nią drabinę, tak, żeby cokolwiek na wierzch wystawała, kładzie się potem na wznak i czeka na niedźwiedzia. Leży czasem parę tygodni, ale to już naród, synku, panie kochany, taki zahartowany...

...Znowu nie wierzycie? Ależ to rzecz prosta — bo skoro zgłodnieje, to się tylko trochę poliże — i dobrze.

Otóż, synku, panie kochany, przychodzi w końcu niedźwiedź i włazi po drabinie do jamy. Apacha leży jak martwy, a głupi myś wierzy, iż on umarł, tem bardziej, iż wie, że Indyanie skazani są w statystyce na wymarcie. Nareszcie zaczyna z Apachy miód zlizywać. Żaden chrześcijanin nie wytrzymałby tego i musiałby się śmiać do rozpuku, zwłaszcza, gdy myś zacznie lizać podeszwy, ale Apachowie, synku, panie kochany, to naród zahartowany — ani mruknie i czeka tylko na stosowną chwilę.

Otóż gdy niedźwiedź, który nigdy łapami na nieboszczyka nie staje, zacznie Indyaninowi, synku, panie kochany, brzuch wylizywać, Apacha nagłym ruchem ręki przykleja mu na ślepie skalp, tj. skórę z głowy człowieczej, wysmarowaną dobrze karukiem czy żywicą. Myś, ktory się najprzód dziwi, że umarły Indyanin chce się z nim bawić w ciuciubabkę, zaczyna potem mruczeć, a w końcu rzuca się wściekle, i chce się od skalpu uwolnić.

Z tej chwili, synku, panie kochany, korzysta Apacha, z szybkością małpy wyłazi na górę i drabinę z dołu wyciąga. Niedźwiedź siedzi w więzieniu i skórę sobie ze łba zdziera, a Indyanin zwołuje swoich towarzyszy, ci zaś krępują mysia, wyciągają na górę, zabijają tomahawkami, pieką i — synku, panie kochany — zjadają na miejscu.

Co wobec tego wasze myśliwstwo!

Podsłuchane. — Zlituj się, co robisz? Strzelasz do kapusty, a nie do zająca.

— Bo widzisz... ja jestem wegetaryaninem.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie